

FORUM 97

MYŚLI WOLNEJ

krakowski magazyn racjonalistów



Pierre August Renoir
Tańce e Bougival, 1833

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Prawnicy przeciw prawu*
- Marta Pasenkiewicz-Gierula, *Nasz Tato, jak go zapamiętałam*
- Nowy cykl! *BOYOWNICY*
- *Tuwim ponadczasowy*



OD REDAKCJI

- 1 Marsz
- 2 Julian Tuwim – *Do prostego człowieka*

TEMATY SPRZED LAT

- 3 Tadeusz Boy-Żeleński – *Prawnicy przeciw prawu Wstęp i opracowanie* – Piotr Augustynek

MYŚLĄC BELFREM

- 7 PIOTR AUGUSTYNEK – *I co dalej?*

W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

- 9 Marta Pasenkiewicz-Gierula – *Nasz Tato, jak go zapamiętałam*
- 13 Justyna Pasenkiewicz-Pitera – *Jak zapamiętałam Dziadka*

SZLAKIEM SZTUKI KRÓLEWSKIEJ W POLSCE

- 14 Bogumił M. Woźniakowski – *Pisarze spod znaku cyrkla i węgielnicy*

BOYOWNICY

- 23 Fryderyk Nietzsche – *Rozprawa druga, pożyteczność i szkodliwość historii dla życia*
- 44 ANDRZEJ CORYELL

OKIEM FILOZOFA

- 45 Józef Kabaj – *Zbiorowa mądrość?*
- 46 Julian Tuwim – *Do losu*

MATEMATYKA NIE BOLI

- 47 Małgorzata Markiewicz – *Czy można znaleźć złoto w matematyce?*

SPACER PRZEZ HISTORIĘ

- 51 Danuta Stolarek – *Księżna Olga*

FELIETONY

- 60 *Jak dobrze jest wiosną podumać nad Prosną...*
- 61 *Tchórze czy idioci?*
- 62 Julian Tuwim – *Mieszkańcy*

63 Z PORTALI INTERNETOWYCH

RADA PROGRAMOWA:

prof. dr hab.
Krzysztof Woźniakowski
– przewodniczący Rady,

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Stanisław Ignacy Fiut,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kornaś,
prof. dr hab. Józef Lipiec
dr Paweł Sękowski,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 567 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny
im. Lidii i Leona Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
www.novum.krakow.pl

ISSN 1507-4781, Index 325813

Redaktor naczelny: Józef Kabaj. **Zespół redakcyjny:** Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Antoni Pietryka, Henryk Szydłowski, Artur Kozioł (red. techniczny). **Współpraca redakcyjna:** Alicja Górowska.

Opracowanie graficzne: Piotr Augustynek.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.

MARSZ

Niedziela, czwarty dzień czerwca. Przekaz telewizyjny. Z wysokich budynków, z drona także. Morze ludzkich głów. Nie widać końca. Jedna z głównych arterii Warszawy pełna ludzi, flag, transparentów. Okoliczne ulice także. Ilu nas? Specjaliści „od organizatorów” twierdzą, że nawet pół miliona. Specjaliści „od władzy” twierdzą, że najwyżej sto tysięcy. Kto jest bliżej prawdy? Nieważne. Nie o ilość uczestników przede wszystkim chodzi. Nie przede wszystkim, choć dobrze jest się policzyć. W stolicy i w innych miastach. Tych dużych i tych małych. Co zatem jest ważne w tym spacerze ku normalności?

Sama normalność właśnie. Normalność, bez której zwykły człowiek – obywatel po prostu – się dusi. Czym zatem jest ta normalność? Pytanie trudne, a odpowiedź tak nieoczywista i pogmatwana, jak nasza odległa i obecna rzeczywistość. Czy to tak wiele wymagać od władzy, by ta nie śmiała się nam w twarz, by po prostu realizowała tekst swojej przysięgi, niekoniecznie obłudnie wplątując Stwórcę w swoje matactwa i przekręty? Czy to tak wiele, czy zbyt wielkie są nasze życzenia?

Czy emeryt jest zbyt zuchwały, jeśli marzy o tym, by nie musiał wybierać między zakupem leków a kupnem bułki?

Czy matka dziecka z niepełnosprawnością żąda zbyt wiele, jeżeli chce mieć zabezpieczenie finansowe i tak trudnego życia?

Czy pacjent z chorobą nowotworową jest zbyt roszczeniowy, jeśli chce mieć dobrą opiekę i godną śmierć?

Czy nauczyciel, naukowiec lub artysta musi godzić się na chamstwo ministra, podobno także profesora?

Czy to wszystko ciągle musi być nieosiągalne?

Kto temu wszystkiemu winien? MY, bo dokonaliśmy kiedyś złych wyborów. Teraz idziemy ku normalności.

Nie wolno nam tego zepsuć!



REDAKCJA

Julian Tuwim

Do prostego człowieka

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy „do ludności», «do żołnierzy”
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę
Ojczyznę szarpać deklinacją
I łudzić kolorowym godłem,
I judzić „historyczną racją”,
O pieniądzu, chwale i rubieżu,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,

Że za ojczyznę - bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron dzienników,
A stado dzikich bab - kwiatami
Obrzucać zaczną „żołnierzyków”. -
- O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na trwogę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: „Broń na ramię!”,
Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztytuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
Różnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj broniąc swej krwawicy:
„Bujać - to my, panowie szlachta!”

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

MILCZENIE KOBIECI

Czytając teksty publicystyczne Boya możemy mieć poczucie powtarzalności dziejów; powrotu do tego, co nam, współczesnym jest dobrze znane, chociaż działo się sto lat temu.

Przypominamy tekst naszego Patrona napisany w roku 1929, a poświęcony wlokącym się pracom ówczesnej Komisji Kodyfikacyjnej. Prace te dotyczyły zagadnienia penalizacji aborcji, opieki nad kobietą w dramatycznej sytuacji socjalnej, pozbawioną wsparcia w jakiegokolwiek formie.

T. Boy-Żeleński swoje członkostwo w tejże Komisji potraktował niezwykle poważnie. Wykonał niełatwą pracę „ankieterską”, polegającą na niezliczonych rozmowach, konsultacjach z przedstawicielami wielu środowisk, grup społecznych itd. Starał się dotrzeć do opinii szanowanych prawników, lekarzy. W swoich rozmowach poruszał potworność sytuacji kobiet, które zdecydowały się na aborcję (najczęściej pokątną, w urągających warunkach), za którą najczęściej zapłaciły życiem. Pytanie: „karać czy nie karać?” ustępowało rozważaniom na temat niedopuszczenia do łamania praw istoty ludzkiej – kobiety.

Boy wskazuje na strach, jaki odczuwają lekarze, prawnicy, a więc ludzie – wydawałoby się – światli, w obliczu podjęcia decyzji o dokonaniu usunięcia ciąży. Strach przed czym? Przed kim?

I tu pojawia się znane Boyowskie określenie „PIEKŁO KOBIECI”. Piekło stworzone przede wszystkim przez mężczyzn. Tych w sutannach również. Wciąż nie możemy się nadziwić, jak starsi panowie, którzy nigdy nie stworzyli rodziny, do ojcostwa się nie przyznają (no chyba, że nie mają innego wyjścia), mogą dyktować społeczeństwu normy moralnego postępowania. Jak to jest, że z niebywałą zaciekleścią zaglądamy nam pod kołdrę? Chyba bardzo tego potrzebują. No, cóż...

Zamieszczony poniżej tekst Tadeusza Boya Żeleńskiego – jakże dawno napisany (94 lata temu) – uświadamia nam, że świat dawno poszedł naprzód. My nie. Naszą obowiązującą opinią ma być światła myśl starego kawalera o „dawaniu w szyję” przez kobiety. My trwamy i trwać będziemy. Zapachniało (?) średniowieczem. Żeby to znieść, chyba rzeczywiście trzeba sobie „dać w szyję”.

*Wstęp i opracowanie:
Piotr Augustynek*

PRAWNICY PRZECIW PRAWU

Tygodnik „Kobieta Współczesna” podnosi znamieny fakt milczenia kobiet.

– Kobiety milczą, pisze. – Milczą jak zawsze, gdy mężczyźni rozstrzygają ich sprawy; milczą wstydliwie w niewoli niewidzialnej, choć istniejącej, „zmowy mężczyzn”.

Mnie się fakt milczenia kobiet w tej sprawie nie wydaje tak dziwny. Wszak milczeli o niej wszyscy; żywi i – umarli. Trupy grzebało się po cichu, obłudzie moralnej działa się zadość. I aby nareszcie ktoś poczuł potworność tego stanu rzeczy trzeba było, aby w obronie kobiet wypowiedzieli się ci, których zadaniem jest zwykle oskarżać lub sądzić: prokuratorzy i sędziowie.

Dlatego, aby ośmielić do przerywania tego milczenia, uważam za właściwe przytoczyć szereg głosów najbardziej autorytatywnych, a zebranych w osobistych rozmowach.

B. prezes Sądu Najwyższego, członek Komisji Kodyfikacyjnej, p. Mogilnicki, mówi w tych mniej więcej słowach:

Rzecz ma trzy fizjonomie: lekarską, prawną i społeczną. Jest bardzo trudna. Zła jest ustawa, złą wydaje się bezkarność. Ja, po głębokim namyśle, doszedłem do przeświadczenia, że ustawa, której się nie wykonywa, którą na dziesiątki tysięcy wypadków stosuje się kilka razy, taka ustawa jest martwa i nie do utrzymania.

Nie uznaję argumentu o zaludnieniu. Są inne sposoby zwiększenia zaludnienia – nawet gdyby je ktoś uznał za potrzebne – nie kodeks karny. W Niemczech, z początku wojny, głoszone hasło: „Pamiętajmy o roczniku 1934”, nawołując, aby jeńców wojennych rozmieszczać po chatach żon, których mężowie byli na froncie, i w ten sposób wówczas zapewnić sobie przyrost ludności. To też był pozytywny wzgląd na przyrost ludności, a jednak trudno go pochwalić; co dowodzi, że nie wszystko można usprawiedliwić polityką populacyjną.

W Komisji Kodyfikacyjnej byłem za niekaralnością. W pierwszym paragrafie (niekaralność matki) zgłosiłem *votum separa-*

tum mniejszości; co do innych punktów, te zdawały się w tym ciele beznadziejne. Ale na zjeździe prawników wypowiedziałem się wręcz za niekaralnością.

Byłbym za dozwoleńiem tego zabiegu lekarzom i za pozostawieniem ich etyce lekarskiej, aby go wykonywali jedynie w wypadkach istotnych wskazań lekarskich lub społecznych. Bardzo ostro natomiast należałoby karać osoby nieuprawnione.

Fałszywe jest mniemanie, jakoby tylko żywioły radykalne były za niekaralnością. Oto b. prezes Sądu Apelacyjnego Czerwiński, człowiek bardzo konserwatywny, przeszło siedemdziesięcioletni, oświadczył się za niekaralnością na podstawie swojej pięćdziesięcioletniej praktyki.

Niedorzecznością jest — wobec osobistego poczucia każdego człowieka — wymierzanie jednakiej kary dzieciobójczyni, oraz kobiecie, która bodaj w pierwszych dniach przerwie ciążę.

Były minister sprawiedliwości, członek Komisji Kodyfikacyjnej, prof. Wacław Makowski:

Kwestia jest trudna. Przynajmę, że między projektem ustawy — zaznaczam, że jest to projekt i że jest naszym życzeniem, aby wywołał najszerszą dyskusję — a życiem, a tym co widzimy dokoła, istnieje wielki rozdzwiek. Ale cóż, my prawnicy, my kodyfikatorzy, jesteśmy *redaktorami* ustaw; nie tworzymy rzeczywistości prawnej, ale ją redagujemy. Opinia musi nas wyprzedzić. Otóż, w tej rzeczy, opinia nie wypowiedziała się dotąd: były prywatne rozmowy, nie było głosów publicznych. Tegoroczny zjazd prawników to niemal pierwszy taki głos; i dał on niewątpliwie Komisji Kodyfikacyjnej do myślenia.

Zaznaczyć muszę, że projekt nasz zostawia dość szerokie pole do interpretacji w swojej części ogólnej, tam gdzie mówi o prawie wyższej konieczności. Pod nią dałoby się podciągnąć i *wskazania społeczne*. Nic nie stoi na przeszkodzie insty-

tucjom społecznym, aby działały w tym kierunku...

To, co my tworzymy, to jest projekt; kodeks karny nie może uwzględniać problemów opieki społecznej, należącej do prawa cywilnego; kiedy przedłożymy nasz projekt sejmowi, w którym znajdują się przedstawiciele społeczeństwa we wszystkich jego kompetencjach, zadaniem sejm będzie uzgodnić te względy i połączyć je w całość. Ale nawet lekarze mogą rozszerzyć pojęcie wyższej konieczności... To pewna, że jeżeli społeczeństwo chce dysponować matką, w takim razie powinno się nią zaopiekować w czasie jej ciąży.

Sędzia Sądu Najwyższego

Edward Lorenz:

Na podstawie długoletniego doświadczenia sędziego i prokuratora, mogę stwierdzić, że ustawa ta jest jedną z ustaw dla parady, jak np. ustawa o pojedynkach; nigdy prawie się jej nie wykonywa. Wypadki działania ustawy to są białe kruki. I wtedy podciąga się je często pod ogólne „działanie nieumyślne”, „spowodowanie szkodliwości dla zdrowia lub życia”. I w Polsce ustawa ta nie będzie zapewne stosowana, społeczeństwo nie pragnie tego, a w takim razie sąd nie ma nic do gadania.

Jak rzecz rozstrzygnąć? To jedno z najtrudniejszych zadań polityki kryminalnej. Wymaga i przerobienia opinii pewnych sfer, i urobienia opinii ogólnej. Nie sądzę, aby Polska mogła je rozwiązać na własną rękę, raczej będzie trzeba zjazdów ogólnoprawniczych całego świata. Wchodzą w grę u nas w Polsce różne czynniki, i liczenie się z Europą, i obawa zarzutu „bolszewizmu”, i obawa, że zniesienie karalności wywoła rozluźnienie obyczajów, i może brak szerszego spojrzenia u twórców nowego kodeksu, który zapowiada się jako zlepek różnych starych i zagranicznych norm prawnych.

Mimo to, co do mnie, wyznaję, że nie miałbym może odwagi cywilnej, aby wystąpić za zupełną niekaralnością. Jestem może zacofany, wychowałem się pod naciskiem pewnych pojęć, pewnych paragrafów, było

by to dla mnie może zbyt radykalne. Raczej oświadczyłbym się za stworzeniem ram, w których sędzia mógłby sądzić po ludzku i uwalniać szeroko tam, gdzie by widział konieczności życiowe.

– Czy pan sędzia nie uważa, że wypadki, które przychodzą przed sędziego, są znikomo rzadkie i przeważnie śmiertelne, natomiast olbrzymia jest ilość tych, które nie dochodzą do wiadomości sądów, a w których ustawa działa mimo to szkodliwie, pozbawiając kobietę pomocy fachowej i zdając ją na konieczność pokątnych praktyk?

– Niewątpliwie.

– A jak pan sędzia się zapatruje na ankietę w tym przedmiocie: czy uważa ją za celową?

– Niezmiernie. Aby rzecz stała się dojrzałą dla radykalnych posunięć ustawodawcy, trzeba, aby nastąpiła wprzód przemiana pojęć.

Prokurator Sądu Apelacyjnego,

dr Kazimierz Rudnicki:

Rozdźwięk między projektem Komisji Kodyfikacyjnej a życiem pochodzi, moim zdaniem, stąd, że ustawy tworzą ludzie przedwojenni, wzrosli w pewnych pojęciach, a życie w ostatnich czasach idzie straszliwie szybko naprzód. Ja sam wyznaję, że trudno by mi było pogodzić się z tezą zupełnej niekaralności, mimo iż mam przekonanie, że ustawa, która nie działa, jest martwa i jest anomalią. Co więcej, obecnie ustawa ta wymierzona jest jedynie w pracującą ludność, w ludzi biednych. (...)

Prof. Wolnej wszechnicy Michał Orzęcki:

Prawo! Uważam, że prawnicy są od redagowania ustaw, a nie od ich tworzenia; nieraz mają oni tu mniej do gadania od innych, nie znając często życia i jego specjalnych warunków. Co się tyczy istoty, treści ustaw, nie zaś ich formy, do tego powołane jest samo społeczeństwo; dlatego taką ankietę uważam za bardzo potrzebną i wskazaną.

Prawo jest dziecinne. Tak samo jak dziecko bije przedmiot, o który się uderzy, tak prawo karne nie ogląda się, czy ta kara ma jakiś skutek, czy ma jakiś sens, czy odpo-



wiada wyższej sprawiedliwości. Zbrodnia mieści w sobie pojęcie czynu rzadkiego: nie może być zbrodnią to, co jest powszechne.

A wreszcie medycyna zna hasło: *primum non nocere*; czy nie byłoby słuszne, aby i Komisja Kodyfikacyjna przyjęła tę zasadę?

A prawo matki do swego ciała czy nie wchodzi tutaj w grę?

Jestem za absolutnym usunięciem paragrafu. Faktowi przerywania ciąży trzeba przeciwdziałać w inny sposób: za pomocą reform społecznych, ustaw o alimentacji, o dochodzeniu ojcostwa, za pomocą przeobrażeń opinii o nieślubnej ciąży. Ale walić wszystkie ciężary na matkę i grozić jej więzieniem, gdy ta, będąc w anormalnym stanie, próbuje się od nich uwolnić, to jest niegodne naszego ustawodawstwa.

P. Aleksander Lednicki:

Uważam, że tu się ścierają dwa światopoglądy: jeden z końca XIX wieku, reprezentujący liberalizm, demokrację i sprowadzenie do minimum ingerencji państwa w życie osobiste obywateli. Tym tłumaczy się, że właśnie najstarsi ludzie zajęli na zjeździe prawników najliberalniejsze stanowisko.

Drugi biegun, to powojenna reakcja przeciw zepsuciu obyczajów, obrona społeczeństwa i – w rezultacie – nawrót do państw policyjnych XVIII wieku.

Ja osobiście, jako obywatel, jako człowiek i jako prawnik, jestem za absolutnym

zniesieniem karalności. Natomiast gdybym był prawodawcą, zatrzymałbym w obecnej chwili karalność, ograniczywszy ją odpowiednio, ponieważ świadomość opinii o bezcelowości i nieskuteczności represji karnych nie przeniknęła jeszcze w społeczeństwo, dlatego to zwolnienie od kary mogłoby być uważane za obrażające moralność publiczną i za zachętę do czegoś, co bezwarunkowo jest objawem ujemnym.

Dlatego też to przygotowanie, urobienie opinii, jakie pan przedsięwziął, uważam za bardzo wskazane.

Natomiast ten nawrót do policyjnego państwa, jaki widzimy we Włoszech, to, aby policjant miał prawo mieszać się do alkowy i do sposobu, w jaki ktoś żyje z żoną, to wydaje mi się ohydne. Jest to sprowadzenie człowieka do roli reproduktora, a kobiety do roli samicy.

Oto kilka zdań prawników. Jakże dalekie są – nieprawdaz? – od apodyktycznego rozstrzygnięcia sprawy przez nasz projekt kodeksu, który nic nie umiał powiedzieć w tej kwestii poza hojnym dawkowaniem lat więzienia. Oto przykład, jak ta ankieta była potrzebna i jak pilna. Będziemy ją też prowadzić dalej; zarazem będziemy wdzięczni tym, którzy sami pragnęliby na nasze ręce przesyłać wypowiedzi. □

„Piekiło Kobiet”
„Biblioteka Boy’a”, Warszawa 1929
Drukarnia „Rola” J. Buriana

PIOTR AUGUSTYNEK

I CO DALEJ?

System polskiej edukacji pod światłym przywództwem Jaśnie Oświeconej i Jakże Zjednoczonej Prawicy zadołował, by w końcu osiągnąć dno. Tak wygląda stan obecny. A co będzie dalej? Czy odbijemy się od tego dna, czy może usłyszymy pukanie od spodu? Wszystko możliwe. Polak potrafi, szczególnie wtedy, gdy zstąpi nań wzmoczenie narodowe i bogoojczyźniane jednocześnie. Niech więc jedni nie tracą nadziei, a drudzy niech się zbytnio nie cieszą. Los lubi płać figle.

Na razie zapisałem sobie kilka pytań, których oczywiście nie zadam obecnym sternikom polskiej edukacji, bo i po co kopać się z koniem?

A to te pytania, nieliczne, bo namnożyło się ich bez liku.

Pytanie pierwsze:

- Kto podejmie się zbadania i zmierznięcia szkód wyrządzonych uczniom i studentom przez ignorantów utytułowanych naukowo i politycznie?

- Czy rezultatem tych badań i pomiarów będą do bólu konkretne wnioski i konsekwentnie realizowany program naprawczy?

- Czy ktokolwiek, przewidując zmiany władz państwowych opracował lub opracowuje obecnie nową koncepcję programów nauczania na wszystkich poziomach edukacyjnych?

Chodzi tu nie o proste działania „w kontrze” do tego, co lansują obecni decydenci. Mam na myśli takie zmiany programowe, które odciążąby proces dydaktyczny, wyeliminowałyby elementy przestarzałe i nie-



mające żadnego znaczenia dla umiejętności rozwiązywania problemów i zadań, jakie niesie współczesność. Zmiany w życiu społecznym i politycznym są dobrą, naturalną okazją do takich działań. Zaniechanie ugruntuje jedynie poczucie marazmu i frustracji. Pozostanie tylko wśród nauczycielskiej braci opinia, że ci-tam, na górze podgryzają sobie wzajemnie gardła, a u nas, na dole wszystko jest po staremu.

- Kto wreszcie zwróci uwagę decydentów na fakt, że do pilnie naglącej konieczności zmian programowych potrzeba nowocześnie myślących i znakomicie wykształconych kadr? Przecież mamy relatywnie blisko Finlandię z jej najlepszą (lub jedną z najlepszych) edukacją na świecie. Oni potrafią, a my nie? Nie wierzę. Nie wierzę.

- Czy ktoś z polityków aspirujących do objęcia sterów szkolnictwa wie, jak skutecznie przemodelować system finansowania oświaty i całej nauki? Wszak same pohukiwania już nie robią na nikim wrażenia. Chcemy zatrudnić w edukacji najlepsze kadry? Chcemy odsunąć w przyszłości obrzydliwe objawy pogardy i lekceważenia belfrów? To naj-

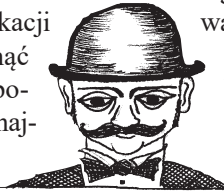
pierw zapłaćmy. Wtedy będziemy mogli wymagać. Najlepsi kandydaci do zawodu ustawią się w długiej kolejce. Bo będzie się opłacało. Tak mi się wydaje, że żaden z mitów promowanych przez ideologów i literatów nie narobił w społeczeństwie większej szkody niż mit Siłaczki i Judyma.

Nauczyciel ma być wybitnym, wartościowym i suwerennym specjalistą. Specjalistą pracującym na żywej tkance społecznej. A specjalistom trzeba dobrze płacić.

- Kto uświadomi rządzącym, że wykształcenie narodu powinno być absolutnie wolne od politycznej bijatyki, od rządów ideologicznie nawiedzonych amatorów i moralnych szubrawców?

- Czy pośród tzw. klasy politycznej istnieje chociaż cień refleksji, że edukacja i nauka są równie ważne jak obronność, służba zdrowia i nadzór nad przestrzeganiem prawa?

Oj, miałbym znacznie więcej pytań. Cóż z tego, że zadałem tylko kilka z najważniejszych? Ciągle mi się wydaje, że może lepiej nie zadawać pytań, bo można usłyszeć odpowiedź. □



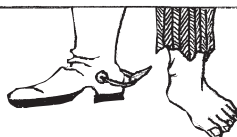
SANEK JÓDŁO?

WAGARY

Marka Twaina nachodziły do czasu do czasu napady długotrwałego lenistwa. Jeśli miłość lub obowiązek nie włożyły mu pióra do ręki, zupełnie zapominał o pisaniu.

Amerykański pisarz Bert Harte długo czekał na list od autora *Przygód Hucka*, aż wreszcie stracił cierpliwość i wysłał mu papier listowy oraz znaczek, aby przypomnieć o zaniedbaniu. Wkrótce otrzymał od Twaina kartkę pocztową, na której ten napisał:

„Papier listowy i znaczek otrzymałem; proszę o kopertę”.



Od redakcji

Mamy jako redakcja FMW to szczęście, że w naszym przedsięwzięciu publikowania bezcennych historycznie i smakowitych literacko wspomnień prof. Kazimierza Pasenkiewicza, który osobiście podarował maszynopis swoich Wspomnień prof. Krzysztofowi Woźniakowskiemu, przewodniczącemu Rady Naukowej naszego kwartalnika, służyła nam cały czas pomocą jego córka, prof. Marta Pasenkiewicz. Teraz – w ukoronowaniu cyklu – zamieszczamy Jej wspomnienie o Ojcu.

MARTA PASENKIEWICZ-GIERULA

NASZ TATO, JAK GO ZAPAMIĘTAŁAM

Tato kochał życie i brał z niego jak najwięcej. Miał wiele zainteresowań, był aktywny na wielu polach, ale do końca nie wiem, czy był bardziej romantykiem, czy racjonalistą. Pewnie jednak bardziej tym drugim, bo jako romantyk, nie przeżyłby pierwszej połowy XX wieku.

Tato urodził się w Kijowie pod koniec XIX wieku i wychowywał w bardzo patriotycznym środowisku, żywo pamiętającym Powstanie Styczniowe. Duży udział w podtrzymaniu patriotyzmu wśród kijowskich Polaków miała Stanisława Ułaszyn nazywana Babcia Ułaszyn. Jej nazwisko powtarzane jest w wielu wspomnieniach z przed-rewolucyjnego Kijowa. W mieszkaniu moje Babci, Babcia Ułaszyn prowadziła nielegalną Polską Szkołkę dla dzieci – przez kilka lat Tato uczęszczał do tej nielegalnej polskiej i równoległe do legalnej rosyjskiej szkoły.

W 1914 roku patriotyzm i romantyzm kazały 16-letniemu Kazimierzowi wyruszyć, bez wiedzy rodziców, do formujących się w Puławach Legionów Górczyńskiego, by walczyć o Polskę. Zanim tam dotarł, Legiony rozwiązano, a jego znalazła rosyjska policja i doprowadziła jako nieletniego

do domu w Kijowie; po drodze osadzając w więzieniach, co bardzo przykro wspominał. W wieku 18 lat, jako obywatel Imperium Rosyjskiego, został powołany do armii carskiej. Po skończeniu podchorążówki, walczył na froncie rosyjsko-niemieckim jako oficer w szeregach Batalionu Szturmowego zwanego Batalionem śmierci, do Rewolucji. W okopach na Dźwiną został ranny i podtruty iperytem. Został odznaczony Orderem Bojowym Anny za Odwagę (ze wstęgami). Rewolucję i powiązane z nią wielokrotne zmiany władzy przeżył w Kijowie – jak mówił, walcząc o życie i przeżycie własne i najbliższych. Ten okres był dla Niego wielką lekcją życia i niewątpliwie wpłynął na Jego dalsze postawy i wybory życiowe, ale też wzmocnił i tak już bardzo silną osobowość.

Wiosną 1920 roku zaciągnął się do Wojska Polskiego jako szeregowiec 1 Pułku Piechoty Legionów 1 Dywizji. W czasie walk został ranny, co skończyło się amputacją nogi. Za udział w tej wojnie otrzymał Krzyż.

II wojnę Światową i Powstanie Warszawskie przeżył w Warszawie, aktywnie konspirując.



Marta i Wacek – dzieci Profesora

Po wojnie w 1920 roku – zamieszkał w Warszawie i rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim. Chciał studiować biologię, ale z konieczności wybrał matematykę i logikę, bo w szkole realnej, do której chodził w Kijowie, nie było łaciny. Wrażliwość na przyrodę pozostała Mu jednak do końca życia. W czasie rodzinnych spacerów i wycieczek zwracał naszą uwagę na ochronę przyrody i wciąż powtarzał: nie deptaj, nie zrywaj, zostaw, szanuj. Martwił się też o przyszłość Ziemi. Uważał, że bogactwa naturalne wyczerpią się za jakiś czas, mówił o tym często i wymagał, byśmy oszczędzali prąd, gaz i nie zaśmiecali świata. Można by powiedzieć, że był ekologiem na długo zanim to pojęcie pojawiło się w powszechnym użyciu. Jak studiowałam fizykę na UJ, zwróciłam uwagę, że profesor Jerzy Rayski po wykładzie dla studentów zawsze gasił światło na sali wykładowej – był to dla mnie znajomy gest.

Jak ja się urodziłam, Tato miał 52 lata, ale nigdy nie uważałam, że jest stary – był bardzo mocny i sprawny. Codziennie gimnastykował się; był zapalonym kajakarzem i turystą. Często zabierał nas na wycieczki po Beskidach, a czasem na spływy kajakowe organizowane przez młodszych kolegów z Zakładu Logiki.

Tato miał wielką wyobraźnię. Na Mierzei Wiślanej, gdzie spędzaliśmy często wakacje, były przepiękne jasne i słoneczne lasy sosnowe, ale też bagna i trzęsawiska. Gdy przechodziliśmy koło nich, Tato widział tam nimfy, rusałki i elfy; i pytał,

czy też je widzimy, bo przecież tam są. Dołąd ja i Brat byliśmy mali, opowiadał nam cudowne bajki – najczęściej jak byliśmy już w łózkach, ale też i w czasie spacerów. W tych bajkach były elementy jego wspomnień z dzieciństwa, trochę Trylogii Sienkiewicza, Pana Tadeusza Mickiewicza, ale też sporo Jego własnej fantazji. Te bajki były długie i Tato, jak Szeherazada, przerywał je w najciekawszym miejscu, żeby następnego dnia kontynuować dokładnie od tego właśnie miejsca. Jak nie opowiadał bajek, to czytał nam książki.

Tato zawsze coś czytał, tak jak napisał w swoich wspomnieniach, książka towarzyszyła Mu wszędzie. Często powtarzał, że człowiek, który czyta, nigdy się nie nudzi. Oprócz książek (w zasadzie kupował wszystkie wydane w Polsce do końca lat siedemdziesiątych XX wieku), kolekcjonował albumy z reprodukcjami obrazów oraz ze zdjęciami architektury. Zachęcał nas do oglądania tych albumów i poznawania stylów. Kolekcjonował też płyty z muzyką poważną, której często słuchał. Dziwiło mnie bardzo, że lubił muzykę, bo nie był w stanie poprawnie powtórzyć jakiegokolwiek dźwięku, ale, co najdziwniejsze, miał świetną pamięć muzyczną – po kilku pierwszych taktach poprawnie rozpoznawał utwór i kompozytora. Tato miał w ogóle znakomitą pamięć. Pamiętał wszystko, co kiedykolwiek przeczytał, czy usłyszał. Jako osoba leniwa, przez długi czas wykorzystywałam to – zamiast szukać informacji w książkach, pytałam Tatę.

W czasach licealnych często wykorzystywałam wielbiący stosunek Taty do czytania. Przy jego aprobachie zamiast iść do szkoły zostawałam w domu i czytałam. To bardzo denerwowało moją Mamę, która pisała mi usprawiedliwienia. Mama uważała, że bez systematyczności w nauce niewiele osiągnę. Po części miała rację – w ostatniej klasie liceum musiałam nadrobić braki w wiedzy, żeby zdać maturę i dostać się na studia.

Dla Taty każda, ale szczególnie umysłowa twórczość była najchwalniejszą działalnością człowieka, a jej efekty cenił bardzo wysoko. Cenił też inne aktywności człowieka, zwłaszcza sportowe, a przede wszystkim w lekkoatletyce i piłce nożnej. Wszystkie zawody, czy to Mistrzostwa Europy, Mistrzostwa Świata, Olimpiadę, czy też rozgrywki ligowe, które mógł, to oglądał. Najczęściej w TV poza domem (w domu bardzo długo nie było telewizora). Znał i pamiętał zarówno nazwiska zawodników, jak i nazwy różnych drużyn. Jak oglądał mecze czy zawody – wszyscy musieli siedzieć cicho i nie przeszkadzać.



Zdjęcie rodzinne Pasenkiewiczów

Tato z natury był demokratą. Ludzi dzielił na przyzwoitych i tych, którym nie podaje się ręki – w tym był bardzo konsekwentny. Lubił kontakty z ludźmi, w czym bardzo pomagała Mu łatwość prowadzenia rozmowy i ciekawość, a rozmawiał z każdym. Uważał, że każdy ma coś ciekawego do powiedzenia, bez względu na wykształcenie i pochodzenie.

Z przekonań Tato był socjalistą. Pomiędzy z początkiem lat 50-tych XX wieku został oskarżony przez „nową władzę” o szpiegostwo i groziła Mu kara śmierci (jego siostra Janka była trzymana przez 9 miesięcy w areszcie bez oskarżenia, żeby złożyła zeznania obciążające Tatę), nie zmienił swoich socjalistycznych przekonań. Po połączeniu PPS-u, którego był członkiem, i PPR-u, został członkiem Zjednoczonej Partii, choć połączenie obu partii nazwał w swoich wspomnieniach „końcem demokracji”. Po latach, nie rozumiejąc tej postawy, ja i Brat pytaliśmy dlaczego; ale Tato uważał, że przekonań się nie zmienia.

Tato bardzo poważnie traktował swoją rolę ojca i był surowym ojcem. Byliśmy uczeni reguł zachowania, odpowiedzialności, punktualności, utrzymywania porządku w swoich rzeczach. Bardzo nam to wte-

dy nie odpowiadało i często byliśmy karani za bałagan i spóźnienia. Tato za bardzo kontrolował nasz czas. W domu i na podwórku mieliśmy całkowitą swobodę. Każdy nasz kolega czy koleżanka mógł nas w każdej chwili odwiedzić. Mogliśmy czytać, co chcieliśmy. Po zrobieniu lekcji mogliśmy iść na podwórko i bawić się z rówieśnikami do zmroku. Do zabaw mieliśmy wielkie podwórko i ogród i wielu rówieśników mieszkających w tej samej kamienicy.

Kontroli podlegał czas powrotu ze szkoły. Szkoła była na ulicy Oleandry i wokół niej wielkie atrakcje – naprzeciwko szkoły tzw. wertepy, za szkołą Park Jordana. A nam nie było wolno tam chodzić; po lekcjach musieliśmy wracać prosto do domu. To samo dotyczyło lodowiska czy moich wizyt u koleżanek. Nie wiem jak, ale Tato zawsze wiedział, o której byliśmy w domu. Za spóźnienia i inne przewinienia były różne kary – od potracenia części tygodniówki (cennik był jawny), poprzez słówka francuskie (przelicznik był znany), po jedną lub dwie strony A4 wypracowania na zadany lub dowolny temat. Tato zawsze dopilnował wypełnienia kary – poprawiał i oceniał wypracowania i przepytывał słówek – nie dało się wykręcić. Te słówka na pewno przyczyniły się mojej lepszej znajomości francu-

skiego; choć Brat twierdzi, że niewiele się nauczył.

Tato nie wpływał na nasze wybory polityczne. Brat od młodości był anty-ustrojowcem i w czasach szkolnych często słuchał z ciotką Janką Radia Wolna Europa. Ja z przekory byłam pro, choć niewiele wtedy wiedziałam o świecie; zbuntowałam się dopiero pod koniec liceum. Jednak prawdziwą naukę o ustroju pobrałam w 1968 roku, gdy byłam studentką pierwszego roku studiów i szłam w marszu protestacyjnym ulicą Manifestu Lipcowego. Przed pałkami ORMO i MO i gazem łzawiącym uciekłam z koleżanką do Zakładu Logiki, gdzie razem z pracownikami Zakładu oglądałyśmy, co się dzieje koło Plant i na ulicy.

Wkrótce po „wypadkach marcowych” w Krakowie Tato zabrał głos na Radzie Wydziału Filozoficzno-Historycznego UJ potępiając działania władzy i przypominając, że w ciągu swojego życia nie raz słyszał, że winni wszystkiego złego są tramwajarze i Żydzi (może też cykliści). To wystąpienie spowodowało przerwanie na ostatnim etapie – już na poziomie Przewodniczącego Rady Państwa – procesu nadania Mu tytułu profesora. Tego roku, może i naturalnie, bo właśnie skończył 70 lat, skończyło się jego zatrudnienie na Uniwersytecie Jagiellońskim, choć jeszcze przez co najmniej 10 lat prowadził wykładał o ile pamiętam, zarówno na UJ jak i na Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie. Tato lubił wykładać i często słyszałam, że robił to dobrze i ciekawie. Jeśli tak, jak opowiadał bajki, to wykłady musiały być wciągające.

Słyszałam chyba tylko jeden wykład Taty – na Jego dziewięćdziesiąte urodziny. Młodszy koledzy Taty z Zakładu Logiki zorganizowali z tej okazji sympozjum naukowe, na którym pierwszy wykład miał Tato. Mówił mało o logice, ale dużo o postawach życiowych, ekologii, konieczności zachowania świata dla młodszych pokoleń i innych zasadniczych sprawach. Choć był to rok 1987, to to o czym Tato wtedy mówił

dopiero dziś stało się troską szerszego ogółu różnych społeczeństw.

W swoich wspomnieniach Tato napisał, że wychowywał się wśród licznych i mądrych kobiet. Podziw dla kobiecości i mądrości kobiet towarzyszył Mu przez całe życie. Kobiety uważał za lepsze od mężczyzn. Równie zdolne, ale dzielniejsze, bardziej zdeterminowane i odpowiedzialne. Myślę, że dla Niego wzorem była jego Matka – kobieta dobra i mądra, nie poddająca się, pomimo bardzo wielu trudności, załamań i tragedii, jakie towarzyszyły Jej w życiu. Tacie nie przyszło by nigdy do głowy, że kobieta nie potrafi abstrakcyjnie i logicznie myśleć. Brak tych umiejętności cechuje ludzi, a nie kobiety.

Tato był wrogiem przeciętności – uważał, że człowiek musi się czymś wyróżnić w życiu, coś po sobie zostawić dla przyszłych pokoleń. Jego niechęć do przeciętności odbijała się na jego stosunku do moich studiów. Wiedział, że w szkole sobie poradzę i – jak napisałam wcześniej – do mojej nauki wtedy nie przykładał wielkiej wagi. Inaczej było na studiach – jak Brat i ja szliśmy na egzamin, Mama mówiła: „nie święci garnki lepią – powodzenia”. Tato nic nie mówił, tylko jak wracałam z egzaminu, stał pod drzwiami i pytał: „dobrze, czy dwójka?” – dostatecznego nie zniósłby. Na moje szczęście dobrze radziłam sobie na studiach.

Brat i ja wybraliśmy pracę naukową jako zawód. Ja pracowałam na uczelni, Brat w instytucie badawczym. Te wybory były dla Taty źródłem satysfakcji, ale dopiero jak zrobiłam habilitację powiedział, że jest spokojny o przyszłość moją i rodziny.

Tato był 30 lat starszy od Mamy i cały czas bał się, że jak umrze, to Mama nie da sobie rady z dwójką dzieci i pracą asystenta/adiunkta na Akademii Medycznej. Oszczędzał więc pieniądze, żeby zabezpieczyć rodzinę. Miał swoje priorytety, na których nie oszczędzał, takie jak książki, duże mieszkanie, pomoc domowa i wakacje; co

do innych rzeczy, to przekonywał nas, że są zbędne i nie finansował. Czasem Brat i ja mieliśmy do Niego pretensje, że nie mamy tego, co nasi koledzy. Ale teraz, jak patrzę w przeszłość, to widzę, że mieliśmy bardzo dużo – choć może nie w sensie materialnym. Tato uważał, że Rodzice i przodkowie wystarczająco wyposażyli nas na życie dając nam wykształcenie i dobre geny – reszta zależała już tylko od nas.

Tato do końca swojego życia zachował sprawność umysłu. Do końca starał się przekazać nam informacje o swoich (i naszych) przodkach, swoją historię.

Teraz, gdy czytam to co napisał we wspomnieniach, przypominają mi się Jego słowne przekazy oraz okoliczności, w których je wypowiadał i bardzo żałuję, że nie pamiętam więcej.

Tato zmarł w czerwcu 1995 roku w wieku prawie 98 lat. W kwietniu tamtego roku stracił chęć do jedzenia czegokolwiek. Nic nie pomogły zabiegi Mamy – wyglądało, że jego organizm wyczerpał się i nie ma możliwości żyć dłużej. Był do końca świadomy i spokojny, bo był w domu, otoczony książkami i znajomymi przedmiotami i towarzyszyła Mu rodzina i bliskie osoby. □

JUSTYNA PASENKIEWICZ-PITERA

JAK ZAPAMIĘTAŁAM DZIADKA

W chwili śmierci Dziadka miałam 18 lat. Choć to graniczna data, teoretycznie symbolizująca dojrzałość, wiem, że w relacji z Dziadkiem nie udało mi się jej osiągnąć. Po prostu nie dorosłam do słuchania Jego opowieści z należytą uwagą.

Jednak Jego wysiłki, aby przekazać nam historię Rodziny i wpoić poczucie dumy z Jej osiągnięć nie poszły na marne. Podczas wszystkich wspólnych uroczystości Dziadek przemawiał na stojąco, dla mnie i młodszej siostry organizował cotygodniowe spotkania edukacyjne, dotyczące głównie zagadnień filozoficznych i regularnie spotykał się z pracownikami nauko-

wymi katedry logiki Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 70 dwudziestego w. Dziadek wykładał m.in. na Akademii Pedagogicznej, którą ukończyła większość nauczycielek z mojej szkoły podstawowej; wszystkie bardzo serdecznie Go wspominały. Ogrom sympatii i szacunku, oraz chęć dotarcia do szerszego grona odbiorców, które charakteryzują Pomysłodawców wydania tych wspomnień



Dziadek z wnuczką

również są dla mnie ujmujące.

Na przestrzeni lat bardzo wyraźnie docierają do mnie sygnały, świadczące o tym, że Dziadek był dla wielu osób Kimś Istotnym. □

BOGUMIŁ M. WOŹNIAKOWSKI

PISARZE SPOD ZNAKU CYRKLA I WĘGIELNICY

W najnowszej historii polskiej masonerii spotykamy także przedstawicieli świata literackiego – pisarzy, poetów i eseistów. Niektórzy z nich na trwałe wpisali się zarówno do rodzimej literatury jak „sztuki królewskiej”. W tym szkicu prezentuję sylwetki kilku z nich, poświęcając więcej uwagi tym mniej znanym lub obecnie zapomnianym.

W okresie międzywojennym najśłynniejszym pisarzem-masonem był **Andrzej Strug**, właściwie Tadeusz Gałęcki (1871-1937). Do Zakonu wstąpił przed 1916. Po odzyskaniu niepodległości zaangażował się w odbudowę masonerii, od 1920 należał do jednej z warszawskich łóż: Wielkiej Łoży Narodowej (przyjął „imię zakonne” (pseudonim organizacyjny) *Stanisław Borszowski*. W latach 1921-1923 piastował godność Wielkiego Mistrza Wielkiej Łoży Narodowej, a w latach 1920-1929 Wielkiego Komandora Rady Najwyższej Polski. W 1929 zawiesił swoje członkostwo („uśpił się”). Do bardziej znanych jego utworów należą m.in. *Ludzie podziemni*, 1908, *Dzieje jednego pocisku*, 1910, *Mogiła nieznanego żołnierza*, 1922, *Pokolenie Marka Świdy*, 1925, *Fortuna kasjera Śpiewankiewicza*, 1928 czy *Żółty Krzyż*, 1932. W swojej twórczości podejmował również zagadnienia masonskie, jak np. w *Chimerze* z 1918 r. czy *Wyspie Zapomnienia*, która w odcinkach ukazywała się w „Kurierze Polskim” w roku 1921, a jej wydanie książkowe wyszło dopiero w roku 1962. Zainteresowanych bliżej jego postacią odsyłam przede wszystkim do pracy autorstwa Anny Kargol: *Strug. Miarą wszyst-*

kiego jest człowiek. Biografia polityczna, (Warszawa 2016), w której szeroko opisana jest działalność wolnomularska pisarza.

Popularnym pisarzem „w fartuszk” był również **Juliusz Kaden Bandrowski** (1885-1944) – sekretarz generalny Polskiej Akademii Literatury (1933-1939). Został przyjęty do wolnomularstwa w I połowie lat dwudziestych XX w, przyjął imię zakonne *Wacław Woronko*. Po pewnym czasie został „uśpiony” (zawieszony w prawach członka), w 1926 (na przełomie maja i czerwca) „obudzony”, przywrócony do czynnego członkostwa i następnie w marcu 1928 ponownie „uśpiony”. Najbardziej znane jego książki to m.in. *General Barcz*, 1922, *Czarne Skrzydła*, 1928 czy *Mateusz Bigda*, 1933.

Nie można też pominąć lekarza, pedagoga oraz pisarza **Janusza Korczaka**, właściwie Henryka Goldszmita (1878–1942). Został inicjowany nie później niż w 1925 w loży „Gwiazda Morza”, wchodzącej w skład Jurysdykcji, a następnie Federacji Polskiej Międzynarodowego Zakonu Wolnomularstwa Mieszanego „Prawo Człowieka” „Le Droit Humain”. Był regularnym uczestnikiem wyjazdowych spotkań polskich wolnomularzy i teozofów w dworku w Mężeninie (obecnie gm. Platerów w pow. łosickim w woj. mazowieckim) Wśród wielu książek jego autorstwa, w dużym stopniu skierowanych do dzieci, można wymienić m.in. *Bankructwo Małego Dżeka*, 1924, *Król Maciuś Pierwszy*, 1923, *Król Maciuś na wyspie bezludnej*, 1923 czy *Kajtuś Czarodziej*, 1934. Z pośród wielu opracowań

poświęconych Korczakowi szczególnie polecam książkę autorstwa Joanny Olczak-Ronikier *Korczak. Próba biografii* (Warszawa 2011).

W emigracyjnej, paryskiej Łoży „Kopernik” istotną rolę odegrał poeta, prozaik i malarz **Jan Winczakiewicz**. Do wolnomularstwa przyjęty w 1963, w 1965 otrzymał stopień mistrza. W okresie 1968-1971 piastował godność sekretarza, a w latach 1982-1983 oraz 1985-1986 przewodniczącego. Przyczynił się waleń do reaktywowania Wielkiej Łoży Narodowej Polski, uczestnicząc w jej pracach jako Wielki Ekspert (1991-1997), a następnie Wielki Namiestnik Honorowy.

Urodził się w Kielcach 6 marca 1921. Szkołę średnią ukończył w 1938 (Liceum im. Adama Asnyka w Kaliszu) a następnie rozpoczął edukację wojskową w Szkole Podchorążych w Szczypiornie. Brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli niemieckiej, z której zbiegł w 1940 do Francji. Tu studiował (1940-1942) na Uniwersytecie w Grenoble. Tu również debiutował tomikiem poetyckim *Pieśń o wrześniu*, wydanym nakładem własnym w 1941. Przez Hiszpanię przedostał się do Anglii, gdzie rozpoczął służbę w 1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka, z którą zaliczył cały szlak bojowy. Po zakończeniu wojny osiadł na stałe we Francji, gdzie podjął pracę dziennikarską w Sekcji Polskiej Radia France Internationale, w którym pracował do emerytury w 1974. Wydał zbiory wierszy *Ballady wojenne*, Paryż 1945, *Czarne wino*, Londyn 1967; przypowieści filozoficzne *Przypowieści bluźniercze*, Londyn 1985, dramat *Opera XX wieku*, Londyn 1988. Po przełomie październikowym pojawił się (w ograniczonym zakresie) na forum krajowym. Od 1958 przez 10 lat publikował w dwutygodniku „Teatr” teksty krytyczne, używając pseudonimu Cezary Lutecki. Zaczął również dosyć regularnie odwiedzać Polskę. Winczakiewicz był również tłumaczem.

W 1962 w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy ukazał się tom Federico Garcii Lorki, wchodzący do kanonu polskich przekładów tego autora. Przetłumaczył także jego *Krwawe wesele* oraz *Dom Bernarda Alby*. W 1963 wydał antologię poezji hiszpańskiej XX w. *Andaluzja i Kastylija*, a w 1965 zbiór przekładów z hiszpańskiego *Sonety*. W tej samej oficynie w 1967 wydał własny tomik poezji *Czarne Wino*. Jako paryżanin z wyboru wydał również przewodnik po tym mieście *Polak zwiedza Paryż*, Londyn 1973. W 1963 zdobył literacką Nagrodę Kościelskich, w 1967 nagrodę londyńskich „Wiadomości”, oraz za całokształt twórczości nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Po zmianach ustrojowych 1989 wielokrotnie odwiedzał Polskę. Zbiór jego poezji *Wiersze przesiane* opublikowało w 1992 Wydawnictwo Ziemia Kaliska. W 1993 wydawnictwo Orfeu wznowiło *Przypowieści bluźniercze*; w 1997 wydawnictwo Alfa opublikowało mini powieść *Gdzie jest grób Hitlera*, rzecz z gatunku political fiction, a w 1998 wydawnictwo Klio, sp. z oo., opublikowało krótką powieść *Co by było gdyby*. W 2008 kielecka oficyna Scriptum opublikowała dwa tomiki poezji *Okruchy*, a w 2009 *Po drodze. Wiersze wybrane*. W 1995 w limitowanym, kolekcjonerskim nakładzie (150 egz.) ukazał się tryptyk poetycki *Inicjacje świętojańskie*, z ilustracjami Jerzego Neumarka, polskiego grafika mieszkającego we Francji. Zawierał trzy krótkie wiersze poświęcone trzem stopniom wolnomularskiej inicjacji – ucznia, czeladnika i mistrza. To wydawnictwo ujrzało światło dzienne dzięki wsparciu Fundacji „Historia Pro Futuro” oraz osób prywatnych.

Jan Winczakiewicz zmarł 24 marca 2012 w Blois (Region Centralny, departament Loir-et-Cher nad rzeką Loarą), gdzie spędził ostatnie lata życia. Został pochowany na Cmentarzu Les Champeaux w Mont-

morency – największej polskiej nekropolii we Francji, zwanej też panteonem polskiej emigracji. Jako ciekawostkę można dodać, zgodnie ze znanym powiedzeniem, że rodziny się nie wybiera, iż siostrzeńcem tego wielce zasłużonego wolnomularza jest Antoni Macierewicz.

Do tej samej paryskiej loży w lutym 1986 został przyjęty Bronisław Wildstein, (ur. 1952); w kwietniu 1988 nadano mu stopień mistrza. W 1990, po powrocie z emigracji przyłączył się („afiliował”) do warszawskiego Kopernika. W latach 1991-1993 przewodniczył krakowskiej loży „Przesąd Zwyciężony”, od 1991 był Wielkim Dozorcą odrodzonej Wielkiej Loży Narodowej Polski. W połowie lat 90-tych XX w. zawiesił swoją działalność wolnomularską. Poza obfitą działalnością publicystyczną jest autorem kilku powieści; m.in. *Jak woda*, 1989; *Brat*, 1992; *Mistrz*, 2004; *Ukryty*, 2012 czy zbiorów opowiadań, np. *O zdradzie i śmierci*, 1992; *Przyszłość z ograniczoną odpowiedzialnością*, 2003.

Z kolei w warszawskim „Koperniku”, loży działającej w ścisłej konspiracji od 1961 do przełomu ustrojowego 1989, najbardziej znaczącym przedstawicielem świata literackiego był Antoni Słonimski (1895-1976), poeta, pisarz, felietonista, prezes ZLP 1956-1959. Został inicjowany w grudniu 1972, w kwietniu 1975 uzyskał stopień mistrza. Twórczość Słonimskiego jest bardzo bogata, to przecież autor kilkunastu tomików wierszy, znakomitych felietonów, tekstów publicystycznych, kilku powieści czy utworów scenicznych. Chcących bliżej poznać postać tego pisarza zachęcam do lektury jego biografii (w której jeden z rozdziałów jest poświęcony przynależności masonskiej) autorstwa Joanny Kuciel-Frydryszak: *Słonimski. Heretyk na ambonie*, 2012.

Jeszcze w okresie konspiracyjnej działalności „Kopernika”, w latach osiemdziesiątych XX w., jej członkiem został poeta,

eseista, krytyk literacki Piotr Matywiecki (ur. 1943), który obecnie może poszczycić się najdłuższym w niej stażem członkowskim. Był pracownikiem Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Sześciokrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Nike. Autor m.in. tomów poezji *Ta chmura powraca*, 2006, *Powietrze i czerń* 2009, *Którędy na zawsze*, 2016, *Stary gmach*, 2017, *Do czasu* 2018. W 1994 wyróżniony Nagrodą Polskiego PEN Clubu im. Ksawerego Pruszyńskiego, w 2008 otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia w kategorii eseistyka za *Twarz Tuwima* (2007), w 2010 wyróżniony Wrocławską Nagrodę Poetycką Silesius w kategorii książka roku, oraz nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia za *Powietrze i czerń*, w 2011 został laureatem nagrody „Kamień” przyznawanej podczas Festiwalu Miasto Poezji, a za *Dwa oddechy. Szkice o tożsamości żydowskiej i chrześcijańskiej* (2010) został nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia 2011 w kategorii eseistyka, w 2013 nominowany do Nagrody Poetyckiej Orfeusz za tom *Widownia*, w 2014 otrzymał Nagrodę Jana Karskiego i Poli Nireńskiej. Laureat Nagrody Literackiej m.st. Warszawy 2016 w kategorii poezja za *Którędy na zawsze*. W 2019 został uhonorowany Nagrodą Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego. W 2013 odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2016 odmówił przyjęcia przyznanego przez ministra Piotra Glińskiego Złotego Medalu „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Również w latach 80-tych XX w. wstąpił do „Kopernika” znany poeta, pisarz i felietonista Tomasz Jastrun (ur.1950), który w połowie lat dziewięćdziesiątych XX w. wycofał się jednak z działalności lożowej. Z bogatej twórczości Tomasza Jastruna polecam wydaną w 2020 książkę wspomnieniową *Iwicka 8a. Dom pisarzy w czasach zarazy*, gdzie opisuje historię mokatowskiej kamienicy, w której od końca lat czterdzie-

stych XX w. mieszkali najważniejsi polscy pisarze.

Należący również do tej Łoży Tadeusz Cegielski (ur. 1948), choć jest przede wszystkim historykiem idei, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i obecnie najbardziej znanym i zasłużonym polskim wolnomularzem (inicjowanym w kwietniu 1987, pełniącym wiele zaszczytnych funkcji w Wielkiej Łoży Narodowej Polski, m.in. Wielkiego Sekretarza i Wielkiego Mistrza w latach 2000-2003, to jednak zdarzyło mu się popełnić kilka książek czysto literackich. W 2010 zadebiutował jako autor powieści kryminalnej *Morderstwo w alei Róż*. Jest też autorem trzech innych powieści detektywistycznych: *Tajemnica Pułkownika Kowadły*, 2013; *Głowa: opowieść nocy zimowej*, 2016 oraz *Nowy lepszy morderca*, 2018. Uważny czytelnik znajdzie w tych książkach wątki masońskie. Warto wspomnieć, że Cegielski jest też autorem pracy *Detektyw w krainie cudów. Powieść kryminalna i narodziny nowoczesności (1841-1941)*, 2015. Książka ta opowiada o tym, jak w nierozzerwalny sposób sprzęgły się losy nowoczesnej cywilizacji oraz kultury popularnej. Cegielski pisze o literaturze, która nie tylko świat odwzorowywała, ale wręcz kształtowała, oraz o słynnych pisarzach i znanych wydawcach; bo – jak twierdzi – bohaterowie kryminałów, choć obdarzeni tylko symbolicznym życiem, potrafili wpływać na życie rzeczywiste.

Jedną z czołowych postaci świata literackiego, która odegrała ważną rolę w najnowszej historii polskiej masonerii, był Piotr Kuncewicz.

Urodził się 19 marca 1936 w Warszawie. Był ironicznym eseistą i błyskotliwym krytykiem literackim, doktorem nauk humanistycznych. Studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, od pierwszego roku studiów był publicystą „Tygodnika Powszechnego”. Po studiach pracował w In-



Piotr Kuncewicz

stytucie Filologii Polskiej UW. Przez pewien czas studiował orientalistykę. Tworzył poezję. Od 1968 r. pracował w Instytucie Badań Literackich PAN. Publikował recenzje literackie w „Nowej Kulturze”, „Współczesności”, „Wiatrakach”, „Dzienniku Ludowym”, miesięczniku „Literatura”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Faktach”, „Miesięczniku Literackim”. Pełnił funkcje kierownika literackiego w Teatrze im. W. Bogusławskiego w Kaliszu i Teatrze Polskim w Bydgoszczy. Prowadził dział krytyki w miesięczniku „Poezja”, był również wykładowcą w Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie. Przez wiele lat (1990-2003) był prezesem Związku Literatów Polskich. Był siostrzeńcem Jerzego Kuncewicza, męża pisarki Marii Kuncewiczowej.

Piotr Kuncewicz był nie tylko erudytą, ale i wytrawnym ironistą, oraz krytycznym obserwatorem i sceptycznym huma-

nistą. Dawał temu wyraz szczególnie w felietonach, publikowanych m.in. na łamach „Przeglądu”. Był twórcą o niezwykle rozległych zainteresowaniach. Według niego „rzeczą pisarza jest raczej pytać, drażnić i denerwować, niż odpowiadać i uspokajać”. Do najważniejszych jego dzieł należą: eseje *Samotni wobec historii* (1967) i *Antyk zmęczonej Europy* (1982, 1988), książki krytyczne *Cień ręki* (1977) oraz *W poszukiwaniu codzienności* (1979), powieści *Szумы* (1976), *Dęby kapitolinijskie* (1970, 1973) i *Zamiec* (1972). Był także autorem kilkutomowej panoramy literatury i poezji polskiej *Agonia i nadzieja* (1993-1994), *Leksykonu polskich pisarzy współczesnych* (1995) oraz książki o dziejach narodu żydowskiego *Goj patrzy na Żyda. Dzieje braterstwa i nienawiści od Abrahama po współczesność* (2000). Ostatnią opublikowaną za jego życia książką był fascynujący esej *Legenda Europy* (2005), który jest „wyznaniem wiary w Europę, jak i dekalogiem tej wiary”, zawierającym „najważniejsze składniki brewiarza Europejczyka, legendy kontynentu”; odwołując się do uczucia i rozumu, wydobywając wspólne dziedzictwo Europejczyków w sferze kultury, historii, idei i literatury. W pracy tej Kuncewicz jako pierwszy w Polsce i może pierwszy na świecie zaproponował formułę patriotyzmu europejskiego. Możemy w niej również odnaleźć odniesienia do wolnomularstwa. Najwięcej jednak wątków masońskich znajdziemy w ostatniej, niedokończonyj książce, opublikowanej przez wydawnictwo Nowy Świat w 2013, *Brama. Dziennik intymny Doktora Fausta*.

Kuncewicz do wolnomularstwa został przyjęty w 1996. Był członkiem loży „Trzech Braci” oraz „Sokrates” (loża wyższych stopni). Przyjął imię zakonne Piotr Mazurek. W listopadzie 2004 został wybrany na Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Polski. Uważał, że masoneria winna być „szkołą bezkonfliktowego różnienia się”.

Zdawał sobie sprawę, iż czasy, w których wypadło mu kierować obediencją, są pełne niepewności, i że nad polską sztuką królewską zaczynają się gromadzić „czarne chmury”. Miał tu na myśli m.in. głośną wówczas (nie tylko w środowisku wolnomularskim) sprawę odwołania przez Sejmik Województwa Wielkopolskiego Tadeusza Cegielskiego z funkcji przewodniczącego Rady Naukowej Muzeum w Dobrzycy, które miało być pierwszym w Polsce muzeum wolnomularstwa. Całą tą awanturę wywołała radna z Ligi Polskich Rodzin, jednego z ówczesnie najbardziej skrajnie prawicowych, antyeuropejskich, nacjonalistycznych i ksenofobicznych ugrupowań politycznych. Owa radna argumentowała, iż Cegielskiego trzeba usunąć, bo jest reprezentantem tajnej organizacji, a tym samym zagraża demokracji, oraz – co było jeszcze bardziej kuriozalne i niedorzeczne – że masoneria jest rozsądnikiem szkodliwej i niebezpiecznej zachodniej kultury bizantyjskiej.

Kuncewicz liczył się z nastrojami społecznymi; uważał, że jeśli WWP zostanie małym ale dumnym graczem, to zostanie zdeptany, natomiast jeśli pójdzie na ilość, ułatwiając dostęp do łóż, to będą się z nim liczyć. Podkreślał przy tym, by przy kryterium ilościowym zwracać szczególnie uwagę na selektywny dobór jakościowy. Jego celem było doprowadzenie do sytuacji, aby to loże przebierały w kandydatach, a nie witały z otwartymi ramionami każdego chętnego. To loża powinna wybierać, kto ma być masonem, a nie sam kandydat. Zdawał sobie sprawę, że ze względu na fluktuację, niestety na niekorzyść WWP, między obediencjami (LDH, WLNP) oraz obcość tradycji wolnomularskiej w polskim społeczeństwie, karmionym obrazem masona jako libertyna bez wszelkich zasad i moralności, knującego spisek przeciwko wolności narodów i religii, pozyskiwanie nowych członków nie będzie takie proste. Sytuację pogarszały coraz ostrzejsze ataki na sztukę królew-

ską ze strony kół klerykalnych, które niebawem (jesienią 2005) uzyskały wsparcie ze strony pierwszego rządu PIS. Mimo tych wewnętrznych jak i zewnętrznych (przejęcie władzy przez skrajną prawicę) problemów, za kadencji Kuncewicza rozwijały się kontakty międzynarodowe WWP. W 2005 delegacja WWP uczestniczyła w Konwencji Wielkiego Wschodu Czech, gdzie zgromadzili się delegaci z prawie całego świata. Nawiązano również kontakty ze środowiskiem ukraińskim zainteresowanym wolnomularstwem, a było to możliwe dzięki poprawie obustronnych polsko-ukraińskich stosunków, dzięki polityce ówczesnego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

W listopadzie 2006 Piotr Kuncewicz ciężko zachorował i nie mógł wypełniać swoich obowiązków Wielkiego Mistrza (zastąpił go wówczas poprzedni Wielki Mistrz Zbigniew Grabowski), a kilka miesięcy później – 9 kwietnia 2007 – zmarł. Jest pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. W czerwcu 2018 na domu przy ul. Zgoda 13, w którym mieszkał w latach 1966–2007, odsłonięto tablicę pamiątkową. W uroczystości uczestniczyła liczna grupa wolnomularzy z ówczesnym Wielkim Mistrzem WWP oraz Wielkim Komandorem Rady Najwyższej 33 Stopnia.

Do Łoży „Trzech Braci” należał także Krzysztof Teodor Toeplitz (1933–2010), dziennikarz, pisarz, felietonista, autor scenariuszy filmowych i telewizyjnych, m.in. *Dzięcioł, Gorączka, Czterdziestolatek*. Był współpracownikiem wielu czasopism – m.in. „Świata”, „Nowej Kultury”, „Przeglądu Kulturalnego”, „Kultury”, „Polityki”; pełnił funkcję redaktora naczelnego: „Szpilek” 1969–1975, dziennika „Nowa Europa” 1991–1992, tygodnika „Wiadomości Kulturalne” 1994–1998. Pracował jako felietonista w „Przeglądzie”. Pisał codzienne komentarze (o charakterze felietonowym) w „Trybunie”. Publikował także w polskiej edycji „Le Monde diplomatique”. Był także jed-

nym z niewielu polskich teoretyków komiksu – pierwsza w Polsce książka o komiksie pt. *Sztuka komiksu* z 1985. Wśród wielu jego publikacji literacki charakter ma m.in. wydany pod pseudonimem Krzysztof Deuter w 1958 kryminał *Dziewięte ramię ośmiornicy, czy Rodzina Toeplitzów. Książka mojego ojca* z 2004. Jego grób znajduje się na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Również członkiem „Trzech Braci” był Bohdan Drozdowski (1931–2013), poeta (np. *Jest takie drzewo*, 1956; *Opór*, 1973) prozaik (m.in. *Pasje Armina Laskowicza*, 1962, *Stare srebra*, 1973, czy *Błękitny dom albo fatum*, 1992 (pod pseudonimem Raymond Starr); także autor sztuk scenicznych (np. *Kondukt*, 1960; *Hermiona*, 1974; *Bóg na śmieciach*, 1983, słuchowisk radiowych (np. *Zapach cygar*, 1974; *Ciało*, 1979). Był również tłumaczem, głównie Szekspira. W 2011 opublikował autobiografię *Tańczący z duchami*. Pracował w redakcjach: m.in. „Gazety Robotniczej”, „Dziennika Łódzkiego”, „Życia Literackiego”. Pełnił funkcje zastępcy redaktora naczelnego i redaktora naczelnego „Współczesności”, redaktora naczelnego „Poezji”. W latach 1966–1970 był zastępcą dyrektora Instytutu Kultury Polskiej w Londynie. Został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim.

Do masonerii należał, dzisiaj praktycznie całkowicie zapomniany a niegdyś dosyć popularny autor, Jerzy Siewierski. W czerwcu 1997 został przyjęty do łoży „Europa” (najpierw Wielki Wschód Francji, następnie WWP); w maju 1998 uzyskał stopień mistrza.

Urodził się 3 czerwca 1932 w Warszawie. Jego ojciec Lucjan był wysoko postawionym urzędnikiem w Ministerstwie Skarbu, a matka Janina pochodziła z rodziny – jak to się wówczas mówiło – dobrej, a nawet bardzo dobrej, wywodzącej się z kręgów bogatego ziemiaństwa. W okresie okupacji ukończył konspiracyjną szkołę podstawową, a po wojnie liceum ogól-

nokształcące im. Stefana Batorego (matura 1951). Jeszcze będąc uczniem liceum wstąpił do OM TUR. Sytuacja materialna spowodowała, że tuż po maturze, pracował krótko jako nauczyciel w liceum im. Hofmancewskiej (1951-1952). W 1952 podjął decyzję o kontynuowaniu nauki na studiach (Wydział Historyczny UW), które ukończył w 1956. W listopadzie tegoż roku rozpoczął pracę w redakcji „Nowych Książek”, gdzie przepracował blisko dwadzieścia lat. W 1976 ze względu na postępującą chorobę (astma) przeszedł na rentę inwalidzką.

W 1957 Siewierski ożenił się z Anną Skirzyńską (1934-2021), w 1963 urodził im się jedyny syn Wojciech.

Jako poeta zadebiutował wierszem *Migawki z MDM* (1951), a jako prozaik opowiadaniem *Celina* (1956) które ukazało się na łamach „Współczesności”. Tu warto przypomnieć, iż pisarz należał do grona założycieli tego pisma, obok Andrzeja Chącińskiego, Leszka Szymańskiego i Romana Śliwonika – co sobie bardzo cenił.

Siewierski jest autorem blisko 30 powieści, głównie kryminalnych i sensacyjnych, oraz opowiadań, artykułów naukowych, monografii, dwóch zekranizowanych scenariuszy filmowych (*Brylanty Pani Zuzy* oraz *Powrót Wilczycy*) jak też kilku publikacji popularnonaukowych. Niektóre powieści pisał pod pseudonimem George Quiryn. Elementy autobiograficzne zawiera wydana w 1980 powieść *Nalewka na wilczych jagodach*.

Był jednym z pierwszych w Polsce, który opracował monograficznie temat powieści kryminalnej jako gatunku literackiego (popularnonaukowe opracowanie syntetyczne *Powieść kryminalna*, 1979). Siewierski przywrócił także polskiemu czytelnikowi gatunek zwany powieścią grozy lub opowieściami niesamowitymi, wampirycznymi, np. *Sześć barw grozy*, 1985; *Panią naszą upiory udusiły*, 1987; *Przeraźliwy chłód – powieść niesamowita*, 1990. Bliska

mu była także gawęda historyczna, gdzie wykorzystywał swoją fantazję językową i instynkt szperacza. To właśnie tę formułę wykorzystał w swoich pracach poświęconych masonerii, jak np. *Choć nas potępiają umysły zacięte... Opowieść o masonach, obyczajach i pięknej Kasieńce*, (1990), czy wydanej już po śmierci pisarza powieści *Upadły Anioł z Podola – opowieść o Tadeuszu Grabiance*, 2003. Swego czasu wielką popularnością cieszyła się praca *Dzieci wdowy, czyli opowieści masonskie* (1992). Było to pierwsze w Polsce popularno-historyczne opracowanie poświęcone wolnomularstwu, napisane łatwym i prostym językiem, tak aby trafić do jak największego kręgu odbiorców. Jest też autorem dwóch krótkich szkiców poświęconych masonerii *Wolnomularstwo a Konstytucja Trzeciego Maja*, wydanej nakładem „Wolnomularza Polskiego” jako zeszyt 5/1997 serii „Ex Oriente Lux” Wielkiego Wschodu Polski, oraz *Legenda o Hiramie z Tyru, synu wdowy – uczniu egipskich mędrców, budowniczym świątyni*, (1999), również wydana nakładem „Wolnomularza Polskiego”. Ciekawą i interesującą jego książką (nie tylko ze względów edytorskich), której opublikowania już się nie doczekał, jest wydana w 2002 *Ilustrowana Historia Masonerii* – prawdopodobnie jedyna na świecie książka współcześnie napisana i zilustrowana techniką sprzed wynalazku Johanna Gutenberga, czyli ręcznie. Ta komiksowa wersja dziejów masonerii, w której opracowaniu graficznym udział miał Mirosław Malcharek, ma dzisiaj walor unikatowy i kolekcjonerski. Jerzy Siewierski zmarł 20 listopada 2000 roku w Warszawie i jest pochowany w grobie rodzinnym na Cmentarzu Powązkowskim.

Siewierski podkreślał, iż jego związek z wolnomularstwem nie jest przypadkowy, lecz związany z tradycją rodzinną. Maso- nem był bowiem jego przodek Jan Siewierski, żyjący na przełomie XVIII i XIX w.

Do wolnomularstwa należała również żona pisarza Anna (Loża „Cezary Leżeński” WWP), masonem jest też syn Wojciech, na stałe mieszkający w USA, który od lat robi międzynarodową karierę w branży funduszy inwestycyjnych i sam siebie nazywa Voytkiem (Loża nr 7 „Pod Szczęśliwą Gwiazdą” WLNP).

Wspomniany wyżej **Mirosław Malcharek** (1932-2018) również był wolnomularzem (imię zakonne *Marek Lach*). Choć prawie całe swoje życie zawodowe związał z grafiką, to był – o czym mało kto dzisiaj pamięta – autorem kilku książek dla dzieci i dorosłych, np. *Jeniec Koralewej Wyspy*, 1968; *Szyper wielorybowego szkunera*, 1972; *Szeryf z Malinowego Wzgórza*, 1977, czy *Gioconda i różni tacy czyli kot Leonarda*, 2005; jak też wielu felietonów – m.in. we „Współczesności”, „Miesięczniku Literackim” czy „Literaturze na świecie”. Został inicjowany w lutym 1995 w loży „Wolność Przywrócona”, w maju 1996 otrzymał stopień czeladnika, a w lutym 1997 mistrza, pełnił również funkcję Czcigodnego (przewodniczącego) tej loży. Był jednym z założycieli WWP. W 2010 afiliował się do poznańskiej loży „Ignacy Paderewski”, należącej do Wielkiego Wschodu Francji. W listopadzie 2011 przeszedł do warszawskiej loży „Kultura”. Należał również do loży doskonałości „Sokrates” (loża wyższych stopni). W ostatnich latach życia zaangażował się w budowanie nowej obediencji Wielkiego Wschodu Rzeczypospolitej Polskiej (działającej w latach 2017-2021).

Do masonerii należał też poznański poeta, prozaik, krytyk literacki, dziennikarz Tomasz Agatowski (1949-2004). Był inicjowany w warszawskiej Loży Europa (WWP), a następnie został Sekretarzem poznańskiej Loży „Karol Marcinkowski” (WWP). Publikował w prasie wojskowej, tygodniku „Wprost” i „Dzienniku Poznańskim”. Był autorem kilku tomików poezji, m.in. *Są nieba większe*, 1987, *Światło Ne-*



Cezary Leżeński

mesis, 1994, *Białe modlitwy*, 1994, *Jeśli wytrwasz*, *Jaki byłby ogień*, 1997. Prowadził swą kawiarnię literacką „Finezja twórczości”. Jest pochowany na cmentarzu Jeżyckim.

Natomiast dziennikarz i pisarz Cezary Leżeński (1930-2006) należał do Międzynarodowego Mieszanego Zakonu Wolnomularskiego Le Droit Humain (DH). Został inicjowany w marcu 1993 w Loży „Nadzieja” (wówczas Wielki Wschód Francji). W maju otrzymał stopień czeladnika, a w październiku mistrza. W 1996 został członkiem formalnie katowickiej, a rzeczywiście warszawskiej Loży „Orzeł Biały” (Federacja Francuska DH) i w latach 1997-1998 piastował godność jej Wielkiego Przysposobiciela. W okresie 1997-2006 pełnił funkcję prezydenta Polskiej Jurysdykcji, a następnie Federacji DH. Był wolnomularzem 30 stopnia.

Leżeński był doktorem nauk humanistycznych, podpułkownikiem rezerwy WP. W okresie okupacji był członkiem Szarych Szeregów. Jako kilkunastoletni chłopiec brał udział w powstaniu warszawskim jako łącznik plutonu szturmowego AK. Był wieloletnim redaktorem naczelnym „Kurieria Polskiego” (1969-1981), działaczem Stronnictwa Demokratycznego. W latach dzie-

więćdziesiątych był założycielem i redaktorem naczelnym miesięcznika „Poland Today”, wydawanego w siedmiu językach do 104 krajów. W okresie 1972-1982, oraz od 1993 do śmierci – Kanclerzem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu. Jest autorem ponad 30 książek o tematyce wojskowej, literatury faktu, literatury pięknej oraz dla dzieci i młodzieży, np. *Powrót*, 1963, *Kolorowy świat mistrza Teofila* (opowieść o T. Ociepcie), 1963, *Jarek i Marek na tropie szpiega*, 1980, *Bartek, Tatarzy i motorynka*, 1988, *Bez buławy* (opowieść o gen. Roweckim), 1988; *Kwaterna 139. Opowieść o marszałku Rydzu-Śmigłym*, 1989, *Miłość i zbrodnia w Soplicowie* (powieść na kanwie *Pana Tadeusza*), 1999; *Nie ciągnij za brodę świętego Mikołaja*, 2005. Swoje zainteresowanie sztuką królewską zaprezentował w książce *Masoni bez maski*, 2006, w której naszkicował sylwetki 40 polskich wolnomularzy. Praca zawiera również wykaz 300 masonów, którzy byli wybitnymi osobistościami w Polsce i na świecie.

Cezary Leżeński był głównym bohaterem tzw. „afery ze św. Mikołajem” z 2004 roku. Ze względu na status Rabki jako „Miasta Dzieci Świata” (przyznany przez Kapitułę Orderu Uśmiechu ze względu na rabczańskie uzdrowiska dla dzieci), Leżeński i Kapituła zainicjowali utworzenie w Rabce stałego polskiego przedstawicielstwa św. Mikołaja, które przyjmowałyby listy od dzieci do św. Mikołaja. Projektowi temu towarzyszył pomysł budowy w Rabce pomnika św. Mikołaja. Prawicowi radni wytropili wówczas, że za św. Mikołajem stoi mason i rozpoczęła się wielka nagonka antymasońska o groteskowym wymiarze.

Leżeński został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Pantonie Żołnierzy Polski Walczącej.

Na koniec tego szkicu o literatach „w fartuskach”, który oczywiście nie wyczerpuje tematu, bowiem o przynależności kogoś do Zakonu można pisać po jego śmierci lub gdy

sam się do tego przyznaje i wówczas wyraża zgodę na jej upublicznienie – parę słów dotyczących Wojciecha Żukrowskiego (1916-2001), prezesa ZLP w latach 1986-1989. W niektórych publikacjach widnieje on jako członek loży, m.in. Leżeński w swojej książce o masonach wymienia jego nazwisko. „Mówi się”, iż najprawdopodobniej należał do Loży „Trzech Braci”(WWP), niestety nie ma na to dowodów źródłowych w postaci zachowanych dokumentów, a sama loża już nie działa. Większość jej członków z przełomu wieków, którzy ewentualnie mogliby to potwierdzić, jak to się mówi w środowisku wolnomularskim „odeszła do Wieczystej Loży”. □

Wykorzystano m.in.: Ludwik Hass, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999: słownik biograficzny*, Warszawa 1999; Anna Kargol, *Dominique Lesage Liberté, Égalité i Fraternité 1990-2020 nad Wisłą, 30 lat wolnomularstwa liberalnego w Polsce*, Kraków 2021; Tadeusz Cegielski, *Wolny Mularz. Autoportret*, Warszawa 2022; Jerzy Siewierski (1932-2000), *Ars Regia* nr 15/16/2006, s. 298-299; Tadeusz Cegielski, *Cezary Leżeński (1930-2006)*, *Piotr Kuncewicz (1936-2007)*, *Ars Regia* nr 17/2007/2008 s. 284-287; Waldemar Gniadek, *Pamięci Mirosława Malcharka*, *Wolnomularz Polski* nr 75/2018, s.39; Mirosława Dołęgowska-Wysocka, *Pamięci Piotra Kuncewicza*, tamże, s. 40; Tomasz Szmagier, *Mistrz i uczeń* [wystąpienie na uroczystości związanej z odsłonięciem pamiątkowej tablicy poświęconej Piotrowi Kuncewiczowi], tamże, s. 41; *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury*. Słownik bibliograficzny pod red. Jadwigi Czachowskiej i Alicji Szałagan, t. 1-10, Warszawa 1994-2007, oraz informacje ze strony <https://wolnomularstwo.pl/> i uzyskane od Voytka Siewierskiego, Waldemara Gniadka, Marka Rezlera jak również z rozprawy doktorskiej Mileny Kościelniak *W cieniu. Biografia w twórczości Jerzego Siewierskiego*, obronionej w 2002 w Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym w Częstochowie, dostępnej w sieci.

Prezentujemy Naszym Czytelnikom kolejną wielką – choć stosunkowo mało znaną w kręgach naszego społeczeństwa – postać, mianowicie Fryderyka Nietzschego (ur. 15 października 1844 w, zmarłego 25 sierpnia 1900 w Weimarze). Jak się przekonamy, ma on - dla nas – bardzo wiele wspólnego z naszym patronem – Tadeuszem Boyem Żeleńskim (ur. 21 grudnia 1874 w Warszawie, zamordowany 4 lipca 1941 we Lwowie). Można chyba powiedzieć, iż Nietzsche – starszy od Boya (jak widać) o jedno, lub nawet o dwa pokolenia – pod wieloma względami był dlań wzorem; w szczególności gdy chodzi o krytyczne podejście do historii (co zobaczymy zaraz) i do moralności (pokażemy to w następnej kolejności). Ciekawostka: ponoć Nietzsche – piszący po niemiecku i uznawany powszechnie za Prusaka, a nawet prekursora hitlerowskiego nacjonalizmu, który jakoby od niego przejął ideę nadczłowieka (Übermensch) – miał uważać się za Polaka z pochodzenia. Mało tego: wywodząc siebie z polskiego rodu Nickich uwielbiał Szopena tak bardzo, iż miał się wyrazić, że za jeden takt Szopena oddałby całą muzykę świata.

Przedrukowując fragmenty przeważnie zachowujemy nieco archaiczną dzisiaj pisownię i ortografię tłumaczenia i wydania źródłowego.

Redakcja

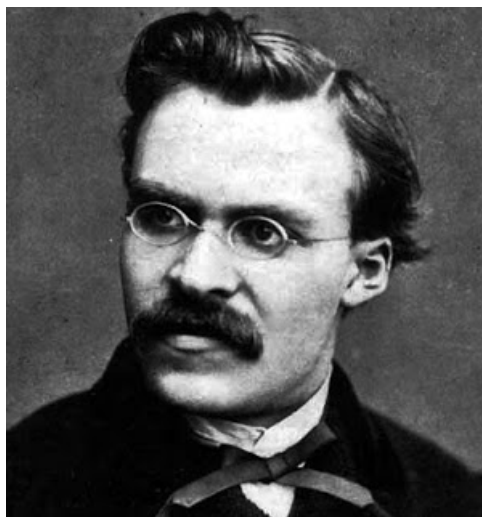
FRYDERYK NIETZSCHE

ROZPRAWA DRUGA, POŻYTECZNOŚĆ I SZKODLIWOŚĆ HISTORII DLA ŻYCIA

Wstęp.

„Zresztą nienawistne jest mi wszystko, co mnie jedynie poucza, nie wznosząc mej działalności lub nie ożywiając mnie bezpośrednio”. Są to słowa Goethego, które, jako z serca wyrażone *ceterum censeo*, niech rozpoczną nasze rozmyślanie o wartości i bezwartości historii. Chcemy w niem bowiem przedstawić, dlaczego pouczenie bez ożywiania, wiedza, przy której słabnie działalność, historia, jako kosztowny nadmiar poznania i zbytek, muszą nam być na seryo, wedle słów Goethego, nienawistne – bo i brak nam jeszcze tego, co najkonieczniejsze; i że to, co zbyt, jest rzeczy koniecznych wrogiem. Zapewne, potrzebujemy historii,

lecz potrzebujemy jej w sposób inny, niż potrzebuje jej rozpieszczony próżniak w ogrodzie wiedzy, choćby nawet dostojnie miał patrzeć z góry na nasze grube i pozbawione wdzięku potrzeby i konieczności. Wiadomo, że potrzebujemy jej do życia i do czynu, nie do wygodnego odwrócenia się od życia i od czynu, lub nawet do upiększenia życia samolubnego, lub czynu tchórzliwego i lichego. Chcemy tylko o tyle służyć historii, ile ona służy życiu; lecz istnieje stopień zajmowania się historią i jej ocena, które wpływają na życie trująco i zwyrodniająco: fenomen to, o którym dowiedzieć się z różnych symptomatów naszych czasów jest teraz rzeczą równie konieczną, jak i bolesną być może.



Fryderyk Nietzsche

Staralem się opisać uczucie, które mnie dość często dręczyło; mszczę się na niem, wyjawiając je publicznie. Może kogoś takie przedstawienie rzeczy pobudzi do oświadczenia, że wprawdzie zna także takie uczucie, lecz że ja nie odczułem go dość jasno i pierwotnie, lub nie wypowiedziałem go zgoła z należną pewnością i dojrzałością doświadczenia. Tak uczyni może jeden lub drugi; większość jednak powie mi, że jest to uczucie opaczne, nienaturalne, wstrętne i po prostu niedozwolone, ba, że okazałem się przez nie niegodzien tak potężnego prądu historycznego naszych czasów, który, jak wiadomo, od dwóch pokoleń zwłaszcza wśród Niemców zauważyć się daje. Otóż w każdym razie to, że ważę się wystąpić z opisem przyrodniczym mego uczucia, pomaga raczej, niż szkodzi powszechnej przyzwyczajoności przez to, że daję wielu ludziom sposobność powiedzieć takiemu prądowi czasu, jak wyżej wspomniany, dużo grzeczności. Sam jednak zyskuję coś, co dla mnie jest więcej warte, niż przyzwyczajoność – że publicznie zostanie o naszych czasach pouczony i skierowany na właściwą drogę.

Niewczesne jest i to rozmyślanie, bo staram się coś, z czego czasy nasze słusz-

nie są dumne, ich wykształcenie historyczne, przedstawić tu jako szkodę, ułomność i brak tych czasów; że sędzę nawet, iż wszyscy cierpimy na trawiącą gorączkę historyczną i przynajmniej powinniśmy poznać, że na nią cierpimy. Ponieważ jednak Goethe powiedział bardzo słusznie, że cnotami swymi przyczyniamy się zarazem do budowy swych błędów i ponieważ, jak wszystkim wiadomo, hipertrofia cnoty – jaką wydaje mi się zmysł historyczny naszych czasów – może się stać tak samo zgubą jakiegoś narodu, jak hipertrofia występku, niech więc mi to będzie wolno.

Nie chcę też ku usprawiedliwieniu swemu przemilczeć, że doświadczenia, które wywołały we mnie owo dręczące uczucie, czerpałem przeważnie z siebie i, jeno dla porównania, z innych; i że tylko o tyle, o ile jestem wychowankiem stuleci dawniejszych, zwłaszcza greckich, doszedłem do tak nowoczesnych doświadczeń co do siebie, jako dziecka czasów obecnych. Tyle jednak muszę przyznać sobie, choćby gwo-li powołaniu, jako filolog klasyczny: bo nie wiedziałbym, jaki sens miałyby filologia klasyczna w naszych czasach, jak nie ten, by działać w nich niewczesnie – to znaczy wbrew czasowi i przez to na czas i, mam nadzieję, na korzyść czasu, który przyjdzie.

1.

Obserwuj stado, które pasąc się przeciąga przed tobą; nie wie ono, co to wczoraj, co dzisiaj, wyprawia skoki, żre, spoczywa, trawi, skacze znowu, i tak od rana do nocy i dzień po dniu, krótko przywiązane swą przyjemnością i przykrością, mianowicie do kołka chwili; i dlatego ani stęsknione ani przesycone. Widzieć to człowiekowi ciężko, gdyż człowieczeństwem swem chełpi się on przed zwierzęciem, a jednak patrzy na jego szczęście z zazdrością. Bo czego chce, to żyć podobnie zwierzęciu, ani w tęsknocie ani w boleści, a przecie chce tego daremnie, gdyż nie chce być jak zwierzę. Człowiek pyta czasem: czemu nie mó-

wisz mi o swem szczęściu i tylko patrzysz na mnie? Zwierzę chce też odpowiedzieć i rzec: pochodzi to stąd, że zawsze zaraz zapomina, com chciało powiedzieć; lecz zapomniało też już o swej odpowiedzi i milczało, tak że człowiek dziwił się temu.

Dziwi się jednak też sobie, że nie może nauczyć się zapomnienia i związany jest zawsze z przeszłością: choćby biegł jak daleko; jak prędko, łańcuch z nim biegnie. To dziw: chwila, ledwo przyszła, już pierzchła, przedtem nic, potem nic, powraca jednak jeszcze jako widmo i kłóci spokój chwili następnej. Ustawicznie odwija się kartka ze zwitka czasu, spada, pierzcha precz – i złata nagle z powrotem w podółek człowieka. Wówczas człowiek mówi: „przypominam sobie” i zazdrości zwierzęciu, które zapomina natychmiast i widzi każdą chwilę konającą naprawdę, tonącą w mgle i nocy i gasnącą na zawsze. Otóż zwierzę żyje niehistorycznie, gdyż rozplywa się w terażniejszości jak liczba, która nie pozostawia ułamka, nie umie udawać, nie kryje niczego i ukazuje się każdej chwili całkowicie tem, czem jest, nie może więc zgoła być inne, jak uczciwe.

Człowiek natomiast dźwiga wielkie i coraz większe brzemie przeszłości: gniecie go ono na dół lub przegina w bok, przytłacza jego chód niby ciężar niewidzialny i ciemny, którego może się on pozornie wyprzeć i którego w obcowaniu ze swymi równymi wypiera się zbyt chętnie, by ich zazdrość wzbudzić. Dlatego, jakby pamięć raju utraconego, wzrusza go widok pasącego się stada, lub dziecka w poufalszej bliży, nie mającego jeszcze przeszłości, której by się wyparło i wśród oplotów przeszłości i przyszłości igrającego w przeszczęsnej ślepotcie. A jednak musi się zakłócić mu zabawę: zbyt wcześnie wywołane będzie z zapomnienia.

Potem uczy się rozumieć słowo „było”, owo hasło, z którym zbliża się do człowieka walka, cierpienie i przesyta, by mu przypomnieć, że istnienie jego jest w gruncie ni-

gdy nie mającym się dokonać *imperfectum*. Kiedy śmierć wreszcie przyniesie upragnione zapomnienie, to skręca przecie równocześnie kark terażniejszości i istnieniu i wyciska pieczęć na owem poznaniu, że istnienie jest jeno nieprzerwaną byłością, rzeczą, która tem żyje, że neguje i strawia samą siebie i samej sobie zaprzecza.

Jeżeli szczęście, pogoń za szczęściem w jakimkolwiek znaczeniu jest tem, co żyjącego trzyma przy życiu i prze do życia, to może żaden filozof nie ma słuszności większej, niż cynik, gdyż szczęście zwierzęcia, jako cynika skończonego, jest żyjącym przykładem słuszności cynizmu. Najmniejsze szczęście, jeśli tylko istnieje nieprzerwanie i czyni szczęśliwym, jest bez porównania więcej szczęściem, niż największe, które przychodzi tylko jako epizod, niejako kaprys, jako szalony pomysł wśród samych przykrości, żądź i niedostatków.

W najmniejszym jednak i największym szczęściu jest zawsze jedno, co szczęście szczęściem czyni: moc zapomnienia lub – wyrażając się uczeniem, – możliwość czucia niehistorycznego w ciągu trwania szczęścia. Kto nigdy nie osiadł na progu chwili, zapomniawszy o całej przeszłości, kto nie umie stać w punkcie, jak bogini zwycięstwa, bez zawrotu głowy i trwogi, ten nie dowie się nigdy, co to szczęście i gorzej jeszcze: nie uczyni nigdy nic, co innych szczęśliwymi czyni.

Wyobraźcie sobie przykład najskrajniejszy, człowieka, który by nie posiadał zgoła mocy zapominania, który by był skazany widzieć wszędzie stawanie się; taki nie wierzy już w swe własne istnienie, nie wierzy już w siebie, widzi, jak wszystko rozplywa się w punkty ruchome i zatracą się w tym strumieniu stawania się. W końcu jak prawdziwy uczeń Heraklita ledwo waży się podnieść palec.

Do wszelkiego działania potrzebne jest zapomnienie: jak do życia wszelkiego tworzenia organicznego konieczne jest nie tylko światło, lecz i ciemność.

Człowiek, który by chciał czuć bezwzględnie tylko historycznie, podobien by był, temu, który by był zmuszony wstrzymać się od spania, lub zwierzęciu, które by tylko z przeżywania i wciąż powtarzanego przeżywania żyć chciało. Więc: możliwe jest życie prawie bez wspomnienia, ba, żyć szczęśliwie, jak okazuje zwierzę; jest jednak bezwzględnie niemożliwością bez zapomnienia w ogóle żyć.

Albo, by się jeszcze prościej w przedmiocie tym wytłumaczyć: istnieje stopień bezsenności, przeżywania, zmysłu historycznego, na którym to, co żyje, ponosi szkodę i w końcu ginie; czy to człowiek, czy naród, czy kultura.

By określić ten stopień, a przezeń potem granicę, na której przeszłość zapomniana być musi, jeśli nie ma się stać teraźniejszości grabarzem, trzeba by wiedzieć dokładnie, jak wielka jest moc plastyczna pewnego człowieka, narodu, kultury. Mam na myśli ową siłę osobliwego rośnięcia z siebie, przetwarzania i wcielania przeszłości i obcości, gojenia ran, zastępowania strat, kształtowania z siebie form rozbitych. sąsiedni ludzie posiadający tej mocy tak mało, że jedno jedyne zdarzenie przeżyte, jeden jedyny ból, często nawet jedna jedyna lekka niesprawiedliwość – jak jedno maluchne krwawe zadrażnienie – przyprawia ich bez ratunku o śmierć; z drugiej strony są tacy, którym najdziksze i najstraszliwsze nieszczęścia życiowe, a nawet czyny własnej złośliwości, tak mało szkodzą, że wśród tego lub wkrótce potem dochodzą do znośnego zdrowia i do pewnego rodzaju czystego sumienia.

Im silniejsze korzenie ma najwnętrzniejsza natura człowieka, tem więcej też przeszłości przyswoi sobie lub do siebie nagnie; i gdyby wyobrazić sobie naturę najmocniejszą i najpotworniejszą, to poznać by ją było po tem, że nie istniałyby dla niej zgoła żadne zmysłu historycznego granice, na których by on zdołał wybujać i działać szkodliwie; całą przeszłość, własną i najbardziej

obcą, pociągnęłaby ku sobie i wchłonęła w siebie i niejako w krew przetworzyła.

To, czego natura taka nic pokona, umie zapomnieć; nie istnieje już ono, widnokrąg jest zamknięty i cały i nic nie zdoła przypomnieć, że poza nim istnieją ludzie, namiętności, nauki, cele. I to jest prawo powszechne; każdy twór żyjący może tylko w obrębie jednego widnokręgu stać się zdrowym, silnym i płodnym; jeśli nie ma mocy zakreślić wokół siebie widnokręgu, a zbyt jest samostny, by w obrębie cudzego zamykać własną chwilę, ulega zwolna lub gwałtownie wczesnej śmierci.

Pogoda, czyste sumienie, wesoły czyn, zaufanie do przyszłości – wszystko to zależy u jednostki, jak u narodu, od istnienia pewnej linii, oddzielającej to, co możliwe do objęcia okiem i jasne, od tego, co nierozjaśnione i ciemne: od tego, że umie równie dobrze wczas zapomnieć, jak się wczas przypomina; od tego, że się silnym instynktem wyczuwa, kiedy trzeba czuć historycznie, kiedy zaś niehistorycznie.

Oto właśnie twierdzenie, nad którym pomyśleć zapraszam czytelnika: Niehistoryczność i historyczność jest w jednakiej mierze dla zdrowia jednostki, narodu i kultury potrzebna.

Każdemu nasunie się tu przede wszystkim jedno spostrzeżenie: wiedza i uczucie historyczne człowieka mogą być bardzo ograniczone, horyzont jego ciasny, jak horyzont mieszkańca doliny alpejskiej, w każdy sąd wkładać on może niesprawiedliwość, w każde doświadczenie błąd, że on pierwszy je uczynił. I mimo wszelką niesprawiedliwość i wszelki błąd żyje przecie w niepokonanem zdrowiu i krzepkości i cieszy każde oko; gdy tuż obok niego człowiek daleko sprawiedliwszy i uczeńszy słabuje i marnieje, bo linie jego horyzontu wciąż się przesuwają niespokojnie, bo nie może z daleko delikatniejszej sieci swych sprawiedliwości i prawd wyrwać się do tęgiego chcenia i pożądania.

Widzieliśmy natomiast zwierzę, które jest zgoła niehistoryczne i mieszka prawie w obrębie horyzontu wielkości punktu, a przecie żyje w pewnym szczęściu, przynajmniej bez znudzenia i obłudy; będziemy więc musieli zdolność odczuwania w pewnym stopniu niehistorycznie uznać za ważniejszą i pierwotniejszą, o ile w niej leży podwalina, na której w ogóle dopiero coś prawdziwego, zdrowego i wielkiego, coś istotnie człowieczego rósć może.

Niehistoryczność podobna jest otaczającej atmosferze, w której jedynie wytwarza się życie, by ze zniszczeniem tej atmosfery znów zniknąć. Prawda: dopiero przez to, że człowiek myśląc, dumając, porównując, rozdzielając, łącząc ogranicza ów żywioł niehistoryczny, dopiero przez to, że w obrębie owej otaczającej mgławicy powstaje jasny, lśniący blask – więc dopiero przez moc używania przeszłości do życia i robienia z tego, co się stało, znowu historii, staje się człowiek człowiekiem. Lecz w pewnym nadmiarze historii kończy się człowiek znowu, a bez owej powłoki niehistoryczności byłby się nigdy nie zaczął i zacząć się nie ważył. Gdzie są czyny, które by człowiek mógł zdziałać, nie wszedłszy wpród w ową warstwę mgły żywiołu niehistorycznego? Albo, by pozostawić obrazy na boku i przejść do ilustracji na przykładzie: wyobraźmy sobie przecie mężczyznę, którego nurtuje i pociąga gwałtowna namiętność dla kobiety lub wielkiej myśli: jakżeż zmieni mu się świat!

Spoglądając wstecz czuje się ślepy, nasłuchując z boku słyszy obcość, jak stłumiony, próżen znaczenia głos; to, co w ogóle spostrzega, nie było dlań nigdy tak prawdziwe, tak dotykalnie bliskie, barwne, dźwięczne, świetlane, jak gdyby ujmował je od razu wszystkimi zmysłami. Wszystkie oceny wartości są zmienione i pozbawione wartości; tak wiele nie umie on już cenić, bo ledwo czuć to już może: pyta się, czy był tak długo błaznem obcych słów, obcych opinii; dziwi się, że pamięć jego obra-



ca się nieznużenie w jednym kole, a jednak jest za słaby i zbyt znużony, by mógł choć raz poza to koło wyskoczyć. Jest to najnie-sprawiedliwszy stan na świecie, ciasny, niewdzięczny wobec przeszłości, ślepy na niebezpieczeństwa, głuchy na przestrogi, mały żywy wir w martwym morzu nocy i zapomnienia: a jednak ten stan – niehistoryczny, przeciwhistoryczny na wskroś – jest rod-nem łonem nie tylko czynu niesprawiedliwego, lecz raczej każdego czynu sprawiedliwego; i żaden artysta nie osiągnie obrazu, żaden wódz zwycięstwa, żaden naród wolności, zanim ich przedtem w takim stanie niehistorycznym nie pożądał i do nich nie dążył. Jak działacz jest, wedle słów Goethego, zawsze bez sumienia, tak jest on też zawsze bezwiedny: zapomina o przeważnej części, by czynić jedno; jest niesprawiedliwy względem tego, co leży poza nim, i ma tylko jedno prawo, prawo tego, co ma się stać teraz. Kocha więc każdy działacz swój czyn nierównie więcej, niż czyn jest wart

kochania. A najlepszych czynów dokonywa się z takim zbytkiem miłości, że muszą one w każdym razie niegodnie być tej miłości, choćby wartość ich zresztą była nieobliczalnie wielka.

Gdyby ktoś był mocen tę atmosferę niehistoryczną, w której każde wielkie zdarzenie dziejowe powstało, w licznych wypadkach zwęszyć i właśnie nią oddychać, to taki mógłby może, jako istota poznająca, wznieść się na stanowisko nadhistoryczne, jak je raz przedstawił Niebuhr jako możliwy rozważań historycznych rezultat. „Historia, pojęta jasno i szeroko, powiada on, przynosi przynajmniej jeden pożytek: że wie się, jak największe, a nawet i najwyższe duchy naszego rodzaju ludzkiego nie wiedzą, jak przypadkowo ich oko przyjęło kształt, przez który widzą i przez który widzieć domagają się od każdego gwałtem; gwałtem zaś, bo intensywność ich świadomości wyjątkowo jest wielka. Kto tego całkiem, pewnie i w wielu wypadkach nie wie i nie pojął, tego ujarzmia zjawisko możnego ducha, który w dany kształt najwyższą wnosi namiętność”.

Nadhistorycznym stanowisko takie nazywać by trzeba, bo ktoś, kto na niem stoi, nie może poczuć zgoła żadnej już pokusy do życia dalszego i współpracownictwa w historii. Przez to, że poznałby jeden warunek wszystkich zdarzeń, ową ślepotę i niesprawiedliwość w duszy działacza; uleczyłby się z tego nawet, by brać odtąd historię jeszcze zbyt poważnie: nauczyłby się przecie z każdego człowieka, z każdego zdarzenia przeżytego, wśród Greków czy Turków, z godziny stulecia pierwszego czy dziewiętnastego, odpowiedzi na pytanie, jak i po co się żyje.

Kto spyta swoich znajomych, czy życzyliby sobie przeżyć raz jeszcze ostatnie dziesięć lub dwadzieścia lat, dowie się łatwo, kto z nich stworzony jest na wzór dla owego stanowiska nadhistorycznego: wszyscy wprawdzie odpowiedzą „nie!”, lecz będą owo „nie” różnie uzasadniać. Jedni może

tem, że się spodziewają: „lecz najbliższe dwadzieścia będą lepsze”. Są to ci, o których Dawid Hume mówi drwiąco:

And from the dregs of life hope to receive,
What the first sprightly running could not give.
(A z mętów życia mam nadzieję otrzymać to,
Czego pierwszy zżawy bieg nie mógł dać.
– tłum. Google)

Nazwijmy ich ludźmi historycznymi; spojrzenie w przeszłość prze ich ku przyszłości, podżega ich odwagę porać się dalej z życiem, zapala ich nadzieję, że szczęście siedzi za górą, ku której kroczą. Ci ludzie historyczni wierzą, że sens istnienia w przebiegu swego procesu coraz bardziej na jaw wychodzić będzie, patrzą wstecz tylko dlatego, by z rozważania dotychczasowego procesu zrozumieć teraźniejszość i nauczyć się gwałtowniej pożądać przyszłości. Nie wiedzą zgoła, jak niehistoryczne, mimo swą całą historię, myślą i działają, i jak też ich zajęcie historyka jest na usługach nie czystego poznania, lecz życia. Lecz pytanie owo, na które odpowiedź pierwszą słyszeliśmy, może znaleźć inną jeszcze odpowiedź. Brzmi ona wprawdzie znowu „nie!” – ale to „nie” inne ma uzasadnienie. Jest to „nie” człowieka nadhistorycznego, którego ratuje nie proces, lecz dla którego świat raczej w każdej poszczególnych chwili jest czemś gotowem i skończonym. Czegóż nauczyłoby dziesięć nowych lat, czego dziesięć minionych nauczyć nie mogło!

Czy tedy sensem nauki jest szczęście, czy rezygnacja, czy cnota, czy pokuta – w tem ludzie nadhistoryczni nie zgadzali się z sobą nigdy; lecz przeciwko wszystkim rodzajom zapatrywań na przeszłość dochodzą do pełnej jednomyślności twierdzenia: przeszłość i teraźniejszość są jednym i tem samym, to jest w całej różnorodności typowo jednakie i jako wszechstrajniejszość nieprzemijających typów spokojnym utworem o niezmiennej wartości i wiecznie jednakim znaczeniu, jak setki róż-

nych języków odpowiadają tym samym typowo stałym potrzebom ludzi. Tak że ktoś, kto by te potrzeby rozumiał, niczego by nowego z wszystkich języków nauczyć się nie mógł; tak myśliciel nadhistoryczny wyjaśnia sobie całą historię ludów i jednostek z wewnątrz, zgadując jasnowidczo *prasens* /teraźniejszość – red./ różnych hieroglifów i stopniowo nawet usuwając się znużony z drogi wciąż nowo dopływającemu pismu znaków. Bo jakżeby nie miał w nieskończonym nadmiarze zdarzeń dojść do dosytu i przesyty, ba, do wstrętu! Tak że najzuchwalszy gotów jest może w końcu rzec z Jakóblem Leopardim do serca swego:

Nie żyje nic, co by godne
Było twych wzruszeń i westchnienia
niegodna ziemia,
Bólem i nudą jest nasze istnienie, (...)
Uspokój się, niczem innym.

Lecz pozostawmy ludziom nadhistorycznym ich wstręt i ich mądrość: dzisiaj bądźmy raczej raz z serca radzi niemądrości swojej i urządzmy wesoły dzień sobie, jako działaczom i naprzód kroczącym, jako czcicielom procesu świata. Niech nasz szacunek dla historyczności będzie tylko przesądem zachodnim; byleśmy tylko w obrębie tych korzyści szli naprzód i nie stali w miejscu! Byleśmy tylko coraz lepiej się uczyli zajmować się historią gwoli życiu! Wtedy ludziom nadhistorycznym przyznamy chętnie, że więcej od nas posiadają mądrości, to jest: jeśli tylko pewni być możemy, że więcej od nich posiadamy życia. Gdyż tak w każdym razie nieświadomość nasza będzie więcej przyszłości miała od ich mądrości. I aby nie pozostała żadna zgoła wątpliwość co do znaczenia tego przeciwstawienia życia i mądrości, posłużę się od dawna stwierdzoną procedurą i postawię wprost też kilka.

Fenomen historyczny, jasno i całkowicie poznany i rozłożony na fenomen poznaniowy, jest dla tego, który go poznał, martwy: gdyż poznał w nim uludę, niesprawie-

dliwość, ślepą namiętność i w ogóle cały ziemsko ocmiony widnokrąg owego fenomenu; i zarazem w tym właśnie jego moc historyczną. Ta moc stała się teraz dla niego, wiedzącego, bezsilna: może jeszcze nie dla niego jako dla żyjącego.

Historia pomyślana jako wiedza czysta i najwyższa byłaby pewnego rodzaju zamknięciem rachunku z życiem i rozliczeniem się z ludzkością. Wykształcenie historyczne jest raczej tylko w orszaku potężnego nowego prądu życiowego, stającej się kultury na przykład, czemś leczebnem i obiecującym przyszłość; więc tylko wtedy, gdy opanowane jest i wiedzione przez siłę wyższą, nie zaś kiedy samo panuje i wiezie.

Historia, o ile jest w służbie życia, jest w służbie mocy niehistorycznej i nie może przeto i nie powinna stać się nigdy nauką czystą, jak na przykład matematyka. Pytanie jednak, do jakiego stopnia życie potrzebuje w ogóle usług historii, jest jednym z najważniejszych pytań i trosk w stosunku do zdrowia człowieka, narodu, kultury. Bo przy pewnym jej nadmiarze kruszy się i wyradza życie; i w końcu też znowu, przez to zwyrodnienie, sama historia.

2.

Że jednak życie potrzebuje służby historii, trzeba równie jasno pojąć, jak twierdzenie, którego potem dowieść będzie trzeba – że nadmiar historii żyjącemu szkodzi. W trojakim względzie służy historia żyjącemu: służy mu, jako działaczowi i dążącemu, jako zachowawcy i czcicielowi, jako cierpiącemu i potrzebującemu wyzwolenia. Tej troistości stosunków odpowiada też troistość rodzajów historii: o ile wolno różnić rodzaj monumentalny, antykwarski i krytyczny.

Historia służy przede wszystkim działaczowi i mocarzowi; temu, który toczy wielki bój, który potrzebuje wzorów, nauczycieli, pocieszycieli i nie może ich znaleźć wśród swych towarzyszy i w teraźniej-

szości. Tak służyła Schillerowi: bo czasy nasze są tak liche, mówi Goethe, iż poeta nie spotyka już w okólnym życiu ludzkim żadnej nadającej się natury.

Ze względu na działacza nazywa na przykład Polybius historię polityczną właściwym przygotowaniem do rządzenia państwem i najwyborniejszą mistrzynią, która wspomnieniem nieszczęść innych upomina nas, byśmy statecznie znosili zmiany szczęścia. Kto tu nauczył się widzieć sens historii, tego mierzyć musi widok ciekawskich podróźnych i natrętnych mikrologów, wspinających się po piramidach wielkich przeszłości; tam, gdzie znajduje bodźce do naśladowania i robienia lepiej, nie życzy on sobie spotykać próżniaka, który, chciwy rozrywki i sensacji, włóczy się jak wśród nagromadzonych skarbów galeryi.

Aby wśród tych słabych i beznadziejnych próżniaków, wśród tych pozornie czynnych, w rzeczywistości tylko podrażnionych i podrygujących towarzyszy, nie zwątpić i nie uczuć wstrętu, spogląda działacz wstecz i przerywa bieg do swego celu, by czasem odetchnąć. Celem jego jednak jest jakieś szczęście, może nie jego własne, często jego narodu lub, całej ludzkości. Uchodzi wstecz od rezygnacji i używa historii jako środka przeciw rezygnacji.

Najczęściej nie czeka go żadna nagroda, chyba sława, to jest nadzieja na zaszczytne miejsce w świątyni historii, gdzie on sam znowu następcom nauczycielem, pocieszycielem, ostrzegaczem być może. Gdyż przykazanie jego brzmi: to, co raz zdołało pojęcie „człowieka” rozszerzyć i piękniej wypełnić, to musi też wiecznie istnieć, by móc to czynić wiecznie. Że wielkie momenty w walce jednostek tworzą łańcuch, że w nich łączy się pochod wyżynny ludzkości poprzez tysiącolecia; że dla mnie to, co najwyższe w takim dawno minionym momencie, jest jeszcze żywe, jasne i wielkie – oto myśl zasadnicza wiary w ludzkość, wypowiadająca się w żądaniu historii monumen-

talnej. Lecz właśnie to żądanie, że wielkość ma być wieczna, rozpala najstraszniejszą walkę. Bo wszystko inne, co żyje jeszcze, woła „mnie”. Monumentalność nie śmie powstawać – oto hasło przeciwne. Tępy nawyk, małość i nizkość, napęniające wszystkie zakątki świata, odymiające, jak ciężkie powietrze ziemi, wszystko co wielkie, rzuca się hamując, łudząc, tłumiąc, dusząc na drogę, którą wielkość ma kroczyć do nieśmiertelności.

Ta droga jednak wiedzie przez mózgi ludzkie! Przez mózgi zaniepokojonych i krótko żyjących zwierząt, które wiecznie na nowo wynurzają się dla tych samych potrzeb i z trudem przez czas krótki bronią się zniszczeniu. Bo chcą przede wszystkim tylko jednego: żyć za wszelką cenę. Któżby podejrzewał ich o ów trudny wyścig z pochodniami historii monumentalnej, dzięki któremu jedynie wielkość dalej żyje! A jednak budzi się wciąż na nowo kilku, którzy patrząc na wielkość minioną i widokiem jej wzmocnieni czują się tak uszczęśliwieni, jakby życie ludzkie było rzeczą wspaniałą i jak gdyby zgoła najpiękniejszym tej gorzkiej rośliny owocem było wiedzieć, że kiedyś tam ktoś dumny i silny przeszedł przez to istnienie, inny w zamyśleniu, trzeci – litosny i pomocny. Wszyscy jednak pozostawiając jedną naukę, że ten żyje najpiękniej, kto nie dba o istnienie.

Gdy człowiek pospolity bierze ten przeciąg czasu tak ponuro, poważnie i chciwie, umieli owi, na swej drodze do nieśmiertelności i do historii monumentalnej, zdobywać się na śmiech olimpijski, lub przynajmniej na wzniosłe szyderstwo; często z ironią zstępowali do grobu – bo cóż w nich było do pogrzebienia! Przecież tylko to, co tłoczyło ich zawsze jako nieczystość, plugawstwo, próżność, zwierzęcość i co teraz przypadło zapomnieniu podane dawno przedtem w ich pogardę.

Lecz jedno żyć będzie, monogram ich najwłaściwszej istoty, dzieło, czyn, rzadkie wyjaśnienie, twór. Będzie żyć, bo ża-

na potomność obyc się bez tego nie może. W tej najbardziej przejaśnionej formie jest sława przecie czemś więcej, niż wyborym kąskiem naszej miłości własnej, jak nazwał ją Schopenhauer. Jest to wiara w przynależność wspólną i w nieustanność wielkości wszech czasów; jest to protest przeciw zmianie pokoleń i przeszłości.

Czem więc przynosi korzyść człowiekowi terażniejszemu monumentalne rozważanie przeszłości, zajmowanie się klasycyzacją i rzadkością dawniejszych czasów? Wnosi on z tego, że wielkość, która istniała niegdyś, w każdym razie możliwa niegdyś była i dlatego też znów kiedyś możliwa będzie; kroczy odważniej swą drogą, gdyż teraz wątpliwość, która opadała go w słabszych godzinach, czy nie żąda może niemożliwości, musiała ustąpić z pola.

Przypuśćmy, że ktoś mniema, iż nie trzeba było więcej, niż stu produktywnych, w nowym duchu wychowanych i działających ludzi, by zadać kres tak modnej teraz właśnie w Niemczech wykształconości. Jakżeby go musiała umocnić wiadomość, że kultura Odrodzenia dźwignęła się na ramionach takiej garstki ze stu mężów.

A jednak – by na tym samym przykładzie nauczyć się natychmiast jeszcze czegoś nowego – jak płynne, jak chwiejne, jak niedokładne byłoby owo porównanie! Jeśli ma ono czynić to wzmacniające wrażenie, ileż różnych rzeczy trzeba przytem przeoczyć, z jakim gwałtem trzeba wtłoczyć indywidualność człowieka przeszłego w ogólną formę, i rozbić wszystkie ostre kąty i linie na rzecz zgodności!

W gruncie rzeczy przecież to, co niegdyś było możliwe, mogłoby tylko wtedy po raz wtóry być możliwym, gdyby słuszna była wiara Pitagorejczyków, że przy takiej samej konstelacji ciał niebieskich musi się i na ziemi powtórzyć to samo, i to aż do najdrobniejszych szczegółów. Tak że zawsze na nowo, gdy gwiazdy znajdą się w pewnym względem siebie stosunku, Stoik łączy się z Epikurejczykiem i zamorduje Ce-

zara; i znowu zawsze w pewnym innym stanie Kolumb odkryje Amerykę.

Tylko wtedy, gdyby ziemia swe widowisko teatralne po każdym akcie piątym powtarzała na nowo, gdyby było pewne, że to samo zadzierzgnięcie motywów, ten sam *deus ex machina*, ta sama katastrofa powtarzały się w pewnych odstępach, mógłby mocarz pożądać historii monumentalnej w jej pełnej, ikonowej prawdziwości; to znaczy każdego faktu w jego dokładnie opisanej osobliwości i jedyności: prawdopodobnie więc nie pierwej, niżby się astronomowie stali znów astrologami. Aż dotąd nie będzie historia monumentalna potrzebowała owej pełnej prawdziwości; zawsze będzie ona to, co nierówne, przybliżać, uogólniać i w końcu i ostatecznie zrównywać; zawsze będzie osłabiać rozmaitość motywów i przyczyn, by kosztem *causae* / przyczyny – red./ stawiać monumentalnie, jako wzór i rzecz godną naśladowania, *effectus* /skutki/.

Tak że można by, ponieważ nie patrzy, o ile może, na przyczyny, nazwać ją z małą przesadą zbiorem „efektów samych w sobie”, jako zbiór rzeczy, które wszech czasów efekt wywierają będą. To, co się czci w święta ludowe, w religijne i wojenne dni pamiątkowe, jest właśnie takim „efektem samym w sobie”. On to nie daje spać ambitnym, on leży przedsiębiorczym na sercu jak amulet, nie jest jednak prawdziwie historycznym *connexus* /powiązaniem/ przyczyn i skutków, który /-e/, poznany /-e/ zupełnie, dowiódłby /dowiodłoby/ tylko, że nigdy po raz wtóry nic bezwzględnie jednako przy grze w kostki przyszłości i przypadku wypaść nie może.

Póki dusza dziejopisarstwa mieści się w wielkich bodźcach, które mocarz z niego czerpie, póki przeszłość opisana być musi jako naśladowania godna, do naśladowania będąca i drugi raz możliwa, póty grozi jej w każdym razie niebezpieczeństwo, że będzie nieco przekrecona, wyłożona pięknie, a przez to zbliżona do wolnego wymy-

słu. Ba, istnieją czasy, które nie mogą różnić przeszłości monumentalnej od fikcji mitycznej; bo z jednego świata czerpać można ściśle te same bodźce, co z drugiego.

Jeśli więc rozważanie przeszłości monumentalnej panuje nad innymi rozważaniami, to jest nad antykwarskim i krytycznym, to przeszłość sama ponosi szkodę. Całe wielkie jej działy ulegają zapomnieniu, pogardzie i odpływają, jak szary nieprzerwany zalew; i tylko niektóre upiękshone fakty wznoszą się z niego, jak wyspy. W rzadkich osobach, które w ogóle się zjawiają, uderza coś nienaturalnego i cudownego, niejako złote biodro, które uczniowie Pitagorasa u mistrza swego rozpoznać chcieli.

Historia monumentalna wprowadza w błąd przez analogie: pobudza uwodnieniami podobieństwami odważnego do zuchwalstwa, natchnionego do fanatyzmu; a jeśli wyobrazimy sobie tę historię w rękach i głowach zdolnych egoistów i marzycielskich złoczyńców, tedy państwa zostają zburzone, królowie zamordowani, wzniecone wojny i rewolucje, a liczba historycznych „efektów samych w sobie”, to znaczy skutków bez dostatecznych przyczyn, mnoży się znowu. Tyle dla przypomnienia szkód, które historia monumentalna zrzucić może wśród mocarzy i działaczy, bez względu, czy są dobrzy czy źli; cóż jednak działa ona dopiero, gdy owładną i posługują się nią bezsilni i beczny.

Weźmy przykład najprostszy i najczęstszy. Wyobraźmy sobie natury nieartystyczne i mało artystyczne, odziane w szyszak i uzbrojone przez historię monumentalną: przeciw komu teraz zwrócą swą broń? Przeciw swym wrogom dziedzicznym, duchom silnym, więc przeciw tym, którzy jedynie prawdziwie, to jest gwoli życiu, z owej historii uczyć się mogą i to, czego się uczą, na wyższą zamieniać praktykę. Tym zamyka się drogę; tym zaciemnia się powietrze, jeśli się wkoło jakiegoś na pół rozumianego monumentu jakiejś wielkiej przeszłości

tańczy bałwochwalczo i z szczerą gorliwością, jak gdyby rzecz się chciało: „Patrzcie, to jest prawdziwa i rzeczywista sztuka: cóż was obchodzi, co się stają i chcą!”

Pozornie posiada ten tańczący rój nawet przywilej „dobrego smaku”: gdyż tworzący był zawsze w niekorzystnym położeniu wobec tego, który się przypatrywał tylko i sam nie przykładął ręki; jak wszechczasów *do-ikufel* politykujący był mądrzejszy, sprawiedliwszy i rozważniejszy od rządzącego męża stanu.

Jeśli jednak zechcemy zwyczaj głosowania powszechnego i większości liczebnej przenieść w dziedzinę sztuki i zmusimy niejako artystę do tego, by stanął przed forum nierobów estetycznych gwoli swojej obronie własnej, to można z góry przysiąc, że zostanie skazany. Nie chociaż, lecz właśnie ponieważ sędziowie jego proklamowali uroczyste kanon sztuki monumentalnej (to jest, wedle danego wyjaśnienia, sztuki, która wszech czasów „czyniła efekt”): gdy tymczasem dla wszelkiej jeszcze niemonumentalnej, bo terazniejszej sztuki brak im potrzeby; po drugie czystej skłonności; po trzecie właśnie owego autorytetu historii.

Natomiast instynkt ich zdradza im, że sztukę można zabić sztuką: monumentalność nie powinna absolutnie powstawać na nowo i do tego służy właśnie to, co ma już autorytet monumentalności z czasów przeszłych. Tacy są znawcy sztuki, bo chcieliby w ogóle sztukę usunąć; więc udają lekarzy, gdy mają na celu trucicielstwo; więc kształcą swój język i smak, by swojemi nawyczkami wytłumaczyć, dlaczego wytrwale odrzucają wszystko, co im się z prawdziwej strawy artystycznej podaje. Środkiem ich jest powiedzenie: „patrzcie, wielkość już istnieje!”

W rzeczywistości wielkość, która już istnieje, obchodzi ich tak mało, jak ta, która powstaje. O tem świadczy ich życie. Historia monumentalna jest maską, w której ich nienawiść dla mocarzy i wielkości ich czasów udaje nasycony podziw dla moca-

rzy i wielkości czasów minionych; maską, którą okryci zmieniają właściwy sens owego historycznego sposobu rozważania na przeciwny. Czy wiedzą o tem dokładnie, czy nie, działają w każdym razie tak, jakby hasłem ich było: pozwólcie zmarłym grzebać żywych.

Każdy z trzech istniejących rodzajów historii jest tylko na jednym właśnie gruncie i w jednym klimacie w swem prawie: na każdym innym wyrasta w zagłuszający chwast. Jeśli człowiek coś wielkiego stworzyć pragnący potrzebuje w ogóle przeszłości, to opanowuje ją za pomocą historii monumentalnej; kto natomiast trwać chce w tem, co zwyczajne i z dawna czczone, ten pielęgnuje przeszłość jako historyk antykwarski i tylko ten, któremu potrzeba obecna piersi uciska i który za żadną cenę nie chce zrzucić z siebie ciężaru, czuje potrzebę historii krytycznej, to jest sądzącej i potępiającej. Z bezmyślnego przesadzania roślin pochodzi niejedno zło. Krytyk bez potrzeby, antykwaryusz bez pietyzmu, znawca wielkości bez mocy wielkości – są takimi w chwast wybujałemi, wydartemi z gruntu macierzystego i przeto zwyrodniałemi roślinami.

3.

Po wtóre więc służy historia zachowawcy i czcielowi – temu, który z wiernością i miłością tam odwraca spojrzenie, skąd przychodzi, gdzie się stał; tym pietyzmem spłaca niejako dług wdzięczności za swe istnienie. Pielęgnując ostrożną dłońią to, co z dawien dawna istnieje, pragnie warunki, wśród których powstał, zachować dla takich, którzy po nim powstać mają; i tak służy życiu. Posiadanie sprzętów domowych po przodkach zmienia w takiej duszy jego pojęcie: gdyż raczej ona dostaje się w ich posiadanie.

To, co małe, ograniczone, zbutwiałe i zestarzałe, otrzymuje swą własną godność i nietykalność przez to, że zachowawcza i czcząca dusza antykwaryusza przesiedla

się w te rzeczy i urządza sobie tam przytulne gniazdo. Historia jego miasta staje się jego własną; rozumie on mur, bramę z wieżą, postanowienia Rady, święto ludowe, jak dziennik swej młodości z malowanymi. I odnajduje w tem wszystkim samego siebie, swą siłę, swą pilność, swą rozkosz, swój sąd, swoje szaleństwo i wady. Tu można było żyć, powiada sobie, bo można żyć; tu będzie można żyć, gdyż jesteśmy twardzi i nie damy się tak łatwo zjeść w kaszy. Więc przejęty tem „my” nie widzi przemijającego, przedziwnego życia jednostkowego i czuje się sam duchem domu, rodu i miasta.

Niekiedy pozdrawia nawet poprzez dalekie, ciemne i zagmatwane stulecia duszę swego ludu jak swoją własną; wyczuwanie i przeczuwanie, wietrzenie na zatartych prawie śladach, instynktownie właściwe odczytywanie najbardziej napisami pokrytej przeszłości, szybkie rozumienie palimpsestów, ba, polipsestów – oto jego zalety i cnoty. Miał je Goethe, stojąc przed pomnikiem Erwina ze Steinbachu; w burzy uczuć rozdarła się historyczna, rozpostarta między nimi zasłona chmur: ujrzał po raz pierwszy dzieło niemieckie, „działające z głębi silnej, surowej duszy niemieckiej”.

Taki zmysł i pociąg kierował Włochami Odrodzenia i budził w ich poetach na nowo starożytny geniusz italski „dla przedziwnego dosnuwania prastarej gęźby”, jak mówi Jakób Burckhardt. Najwyższą jednak wartość ma ów historyczno-antykwarski zmysł czcielski tam, gdzie ponad skromnym, surowym, nawet nędznym stanem rzeczy, w którym żyje człowiek lub naród, rozpościera proste, wzruszające uczucie radości i zadowolenia. Jak na przykład Niebuhr z poczciwą dobroduszością przyznaje, że w błotach i puszczech, wśród wolnych chłopów, którzy posiadają historię, żyje zadowolony i nie czuje braku żadnej sztuki. Jakżeby mogła historia lepiej życiu służyć, niż tem, że także szczepy i ludy, żyjące w mniej korzystnych warunkach, przywią-

zuje do ich ojczyzny i zwyczaju ojczystego, osiedla ich i powstrzymuje od szukania lepszego losu w obczyźnie i walczenia oń w zawody?

Czasem zdaje się, że to upór i nierozum przygważdża niejako jednostkę do tych towarzyszy i okolic, do tych trudnych warunków życia, do tych nagich grzbietów górskich – lecz jest to nierozum najzbawieniejszy i najbardziej sprzyjający całości: jak to wie każdy, kto poznał dokładnie straszne skutki awanturniczej żyłki do wychodźstwa; nawet u całego roju ludów; lub kto widzi stan ludu, co zapomniał, zatracił wierność względem swej przeszłości i narażony jest na bezustanne, kosmopolityczne wybieranie i szukanie nowostek i ciągle nowostek. Przeciwnie uczucie, radość drzewa z swych korzeni, szczęście na myśl, że nie jest się całkiem dowolnym i przypadkowym, lecz jako dziedzic, kwiat i owoc wyrosło się z przeszłości i przez to jest się w swem istnieniu rozgrzeszonym, ba, usprawiedliwionym – oto co się teraz z upodobaniem określa jako właściwy zmysł historyczny.

Nie jest to oczywiście stan, w którym by człowiek najbardziej był zdolny przetopić przeszłość na czystą wiedzę; tak że i tu spostrzegamy, cośmy spostrzegli w historii monumentalnej, że, sama przeszłość cierpi, dopóki historia służy życiu i opanowana jest przez popędy życiowe. Mówiąc nieco swobodnym obrazem: drzewo czuje bardziej swe korzenie, niżby je widzieć mogło: uczucie to jednak mierzy ich wielkość wielkością i siłą jego widzialnych konarów. Niechby się drzewo w tem myliło: jakże dopiero będzie w błędzie co do całego lasu wkoło siebie! O którym coś wie i czuje o tyle, o ile las samo drzewo zagłusza lub je w górę pędzi – lecz nic nadto.

Zmysł antykwarowski człowieka, gminy miejskiej, całego narodu ma zawsze do najwyższego stopnia ograniczone pole widzenia; najwięcej nie spostrzega wcale, a to nieco, co widzi, widzi zbyt blisko i w odosobnieniu; nie może go zmierzyć i przyjmuje

przeto wszystko jako równie ważne; i przeto każdą rzecz poszczególną jako zbyt ważną. Wówczas nie istnieją dla spraw przeszłości żadne różnice wartości i proporcje, które by odpowiadały istotnie wzajemnemu stosunkowi tych rzeczy; tylko zawsze miary i proporcje rzeczy w stosunku do wstecz poglądującej jednostki lub narodu.

Tu zawsze grozi pewne bardzo bliskie niebezpieczeństwo: ostatecznie uważa się wszystko, co stare i przeszłe, a co w ogóle jeszcze zjawia się w polu widzenia, po prostu jako równe i czcigodne, wszystko zaś, co starości tej nie świadczy czci, więc wszystko, co nowe i co się staje, odpiera się i nienawidzi. Tak nawet Grecy znosili styl hieratyczny swych sztuk plastycznych obok stylu wolnego i wielkiego, ba, nie tylko znosili później spiczaste nosy i mroźny uśmiech, lecz zrobili z tego nawet smakoszostwo.

Jeśli zmysł jakiegoś ludu w ten sposób stwardnieje, jeśli historia tak służy życiu przeszłemu, że podkopuje życie dalsze i właśnie życie wyższe, gdy zmysł historyczny już życia nie konserwuje, lecz je mumifikuje, to drzewo umiera w sposób nienaturalny, od szczytu stopniowo ku korzeniom – i w końcu po prostu ginie sam korzeń. Historia antykwarowska wyrodnienie sama w tej chwili, w której świeże życie teraźniejszości już jej nie ożywia i nie podnieca. Teraz usycha pietyzm, uczone przyzwyczajenie trwa bez niego dalej i obraca się z egoistycznym upodobaniem w sobie wokół własnego ośrodka.

Wówczas patrzymy na wstrętne widowisko ślepego szału zbierania, zadyszanego zgarnywania wszystkiego, co kiedyś istniało. Człowiek otacza się wonią pleśni; udaje mu się nawet jakąś znaczniejszą zdolność, szlachetniejszą potrzebę zniżyć manierą antykwarowską do nienasyconej żądzy nowości, właściwie starości i wszystkości. Często upada tak nisko, że w końcu zadowala się każdym wiktem i z rozkoszą pożera nawet kurz bibliograficznych *quisquiliae* (śmieci – red.).

Lecz nawet, jeśli zwyrodnienie owo nie nastąpi, jeśli historia antykwarska nie straci fundamentu, w którym jedynie dla zdrowia życia tkwić może, to zawsze pozostaje jeszcze dość niebezpieczeństw, jeśli mianowicie stanie się ona zbyt silna i zachwaszcza inne rodzaje rozważania przeszłości. Umie ona właśnie tylko zachowywać życie, nie zaś je tworzyć: dlatego nie docenia zawsze tego, co się staje, bo nie ma żadnego zgađającego instynktu – jaki ma na przykład historia monumentalna. Więc przeszkadza silnej decyzji na nowość, więc ubezwładnia działającego, który zawsze, jako działający, będzie i musi obrażać różne pietyzmy.

Fakt, że coś się zestarzało, rodzi teraz żądanie, by było nieśmiertelne; bo jeśli ktoś policzy, czego taki zabytek – stary obyczaj ojców, wierzenie religijne, odziedziczony przywilej polityczny – w ciągu swej egzystencji doznał jakiej sumy pietyzmu i czci ze strony jednostki i pokoleń, to zdaje się zuchwalstwem lub nawet niegodziwością zastępować taki zabytek nowością i takiemu szeregowi liczbowemu pietyzmów i czołobitności przeciwstawiać jedynki tego, co się staje i jest terazniejsze.

Tu okazuje się, jak koniecznie potrzebny jest człowiekowi – obok rodzaju monumentalnego i antykwarskiego – dość często rodzaj trzeci, krytyczny; a i ten także znowu w służbie życia. Musi on mieć moc i kiedy niekiedy używać jej, by rozbić i rozłożyć przeszłość, aby mógł żyć. Osiąga to tem, że pozywa ją przed sąd, inkwiruje skrupulatnie i w końcu skazuje: każda przeszłość jednak jest warta skazania, bo tak już ma się rzecz z sprawami ludzkimi: zawsze władały w nich gwałt i słabość ludzka.

To nie sprawiedliwość sprawuje tu sądy; tem mniej łaska wyrok swój tu ogłasza, lecz życie samo; owa ciemna, pędząca, samej siebie nienasyconie pożądaną moc. Wyrok jego jest zawsze niełaskawy, zawsze niesprawiedliwy, ponieważ nigdy nie wypłynął z czystego źródła poznania; lecz w przeważnej liczbie wypadków wy-

rok wypadłby tak samo, jak gdyby go głosiła sama sprawiedliwość. „Gdyż wszystko, co powstaje, jest warte, by zginęło. Przeto by było lepiej, gdyby nic nie powstawało”.

Trzeba mieć bardzo wiele siły, by móc i umieć żyć, o ile żyć i być niesprawiedliwym jest to samo. Sam Luter wyrzekł raz, że świat powstał tylko przez zapomnienie się Boga. Gdyby bowiem Bóg był pomyślał o „ciężkiej armacie”, nie byłby stworzył świata.

Niekiedy jednak to samo życie, które potrzebuje zapomnienia, wymaga czasowego zniszczenia tego zapomnienia; wówczas właśnie jasnym winno się okazać, jak niesprawiedliwe jest istnienie jakiejś rzeczy, na przykład jakiegoś przywileju, jakiejś kasty, jakiejś dynastji, jak bardzo rzecz ta zasługuje na śmierć. Wówczas przeszłość jej rozważana bywa krytycznie, wówczas przystępuje się z nożem do jej korzeni, wówczas stąpa się srogo po wszystkich pietyzmach.

Jest to zawsze niebezpieczny, mianowicie dla samego życia niebezpieczny proces. I ludzie czy czasy, które służą życiu w ten sposób, że jakąś przeszłość sądzą i niszczą, są zawsze niebezpiecznymi i na niebezpieczeństwo wystawionymi ludźmi i czasami. Gdyż będąc oto rezultatami pokoleń poprzednich, jesteśmy też rezultatami ich pobłędzeń, namiętności i pomyłek, ba, zbrodni; nie można oderwać się całkowicie od tego łańcucha.

Jeśli potępiamy te pobłędzenia i uważamy się za zwolnionych od nich, to nie usunięto faktu, że z nich pochodzimy. Doprowadzamy w najlepszym razie do sporu odziedziczonej, przekazanej natury i naszego poznania, także i do walki nowej surowej hodowli z tem, co z dawien dawna wpojone i wrodzone, zaszczeplamy nowe nawyknięcie, nowy instynkt, drugą naturę, tak że pierwsza natura usycha.

Jest to próba niejako nadania sobie a posteriori przeszłości, z której pochodzić by się chciało, w przeciwstawieniu do tej, z której się pochodzi: – zawsze próba nie

bezpieczna, bo tak trudno znaleźć granicę w zaprzeczaniu przeszłości i ponieważ drugie natury są przeważnie słabsze, niż pierwsze. Kończy się zbyt często na poznaniu dobra, nie czyniąc go, bo zna się i lepsze, nie mogą go dokonać.

Lecz tu i ówdzie udaje się jednak zwycięstwo i istnieje nawet dla walczących, dla tych, którzy posługują się historią krytyczną dla życia, uwagi godna pociecha: to jest wiedza, że także owa pierwsza natura była kiedyś tam drugą naturą; i że każda druga natura zwycięska staje się pierwszą.

4.

Oto usługi, które historia oddać może życiu; każdy człowiek i każdy naród potrzebuje stosownie do celów, sił i potrzeb, pewnej znajomości przeszłości, już to jako historii monumentalnej, już to jako antykwarskiej, już to jako krytycznej. Lecz nie jako gromada czystych, przyglądających się tylko życiu myślicieli, nie jako żadne wiedzy, dające się tylko wiedzą zadowolić jednostki, dla których pomnożenie poznania jest celem samym, lecz zawsze tylko gwo-li życiu, a więc także pod władzą i najwyższą życia wodzą. Że to jest naturalny stosunek jakiegoś czasu, jakiejś kultury, jakiegoś narodu do historii – wywołany głodem, regulowany stopniem potrzeby, w szrankach trzymany wewnętrzną mocą plastyczną – że znajomość przeszłości wszech czasów pożądana jest tylko w służbie przyszłości i terażniejszości, nie zaś dla osłabienia terażniejszości, nie dla wyplenienia silnej życiowo przyszłości. To wszystko jest proste, jak prosta jest prawda i przekona natychmiast nawet tego, który nie każe dopiero dowodzić sobie tego historycznie.

A teraz rzućmy szybko okiem na nasze czasy! Przestraszamy się, uciekamy wstecz: gdzie podziąła się jasność, naturalność i czystość owego stosunku życia i historii, jak mętnie, jak przesadnie, jak niespokojnie faluje teraz ten problemat przed naszymi oczami! Czy wina leży w nas, pa-

trzących? Czy też rzeczywiście zmieniła się konstelacja życia i historii przez to, że jakaś złowieszczo potężna gwiazda stanęła między nimi? Niech inni wykażą, że widzieliśmy fałszywie.

My powiemy, co nam się zda widzieć. Bez wątpienia stanęła w środku taka gwiazda, lśniąca i wspaniała gwiazda, konstelacja rzeczywiście zmieniona – przez naukę, przez żądanie, by historia była nauką. Teraz już nie życie rządzi tylko i poskramia wiedzę o przeszłości, lecz obalono wszystkie pale graniczne i wszystko, co niegdyś było, wali się na człowieka.

Jak daleko wstecz coś stawało się, tak daleko wstecz, w głąb nieskończoności, przesunęły się perspektywy. Jeszcze żadne pokolenie nie widziało takiego nieogarniętego wzrokiem widowiska, jakie ukazuje teraz nauka o uniwersalnym stawianiu się, historia; oczywiście jednak ukazuje ona je z niebezpieczną śmiałością swego hasła: *fiat Veritas, pereat vita* (niech się staje Prawda, niech ginie życie – tłum. Red.).

Przedstawmy sobie teraz obraz przebiegu duchowego, spowodowanego przez to w duszy człowieka nowoczesnego. Wiedza historyczna spływa i wpływa w nią z niewyczerpanych źródeł ciągle na nowo, rzeczy obce i bez związku tłoczą się, pamięć otwiera wszystkie swe drzwi, a przecież jest niedość szeroko otwarta, natura trudzi się do najwyższego stopnia, by obcych tych gości przyjąć, uszeregować i uczcić, oni sami jednak walczą z sobą wzajem i zdaje się rzeczą konieczną ich wszystkich pokrozić i pokonać, by samemu z powodu ich walki nie zginąć. Przyzwyczajenie do tak nieporządnego, burzliwego i walczącego prowadzenia domu staje się zwolna drugą naturą, choć nie ulega kwestyi, że ta druga natura jest daleko słabsza, daleko niespokojniejsza i nawskroś niezdrowsza, niż pierwsza.

Człowiek nowoczesny wlecze ostatecznie z sobą ogromne mnóstwo niestrawnych kamieni wiedzy, które potem przy sposob-

ności porządnie też w ciele stukoczą, jak mówi bajka. Tym stukotem zdradza się najwłaściwsza właściwość tego człowieka nowoczesnego: uwagi godne przeciwieństwo wnętrza, któremu nie odpowiada żadna zewnętrzność; zewnętrzność, której nie odpowiada żadne wnętrze; przeciwieństwo, którego nie znały narody dawne.

Wiedza, która zostaje nadmiernie pochłonięta bez głodu, ba, wbrew potrzebie, nie działa już teraz jako przekształcająca, na zewnątrz pędzący motyw i pozostaje ukryta w pewnym chaotycznym świecie wewnętrznym, który ów człowiek nowoczesny z dziwną dumą określa jako właściwą mu „wewnętrzność”. Mówi się potem, że się posiada treść i że brak tylko formy; lecz u wszystkiego, co żyje, jest to zgoła nieprzyzwoite przeciwieństwo.

Nasze wykształcenie nowoczesne nie jest przeto właśnie niczem żywym, ponieważ bez owego przeciwieństwa nie da się zgoła pojąć; to znaczy: nie jest wcale wykształceniem prawdziwym, tylko pewnego rodzaju wiedzą o wykształceniu. Rzecz kończy się na myśli o wykształceniu, na uczuciu wykształcenia, a nie ma z tego żadnego skutku wykształcenia. To natomiast, co rzeczywiście jest motywem i co jako czyn występuje widocznie na zewnątrz, znaczy wówczas często nie wiele więcej niż obojętny konwenans, nędzne naśladownictwo lub nawet surowa karykatura.

We wnętrzu jużci spoczywa wtedy uczucie podobnie owemu wężowi, który połknął całe króliki i potem ucieczony kładzie się w słońcu i unika wszelkich ruchów, oprócz koniecznych. Proces wewnętrzny jest teraz sednem rzeczy, jest właściwym „wykształceniem”. Każdy, kto przechodzi mimo, ma tylko jedno życzenie, by wykształcenie takie nie zginęło z nie strawności.

Pomyślmy sobie na przykład Greka, przechodzącego obok takiego wykształcenia. Dowiedziałby się, że dla ludzi nowszych „wykształcony” i „wykształcony historycznie” zdają się w takim zostawać ze

sobą związku, jakby były jednym i tem samym i różniły się tylko liczbą słów. Jeśli więc wypowie swe zdanie: ktoś może być bardzo wykształcony, a jednak historycznie wcale niewykształcony, toby mniemano, że nie dobrze słyszano i kiwano by głowami.

Ów znany ludek niezbyt odległej przeszłości, mam na myśli właśnie Greków, zachował sobie twardo w okresie swej największej siły zmysł historyczny; gdyby człowiek współczesny musiał mocą czaru w ów świat powrócić, to uznałby prawdopodobnie Greków za bardzo „niewykształconych”, czem wówczas oczywiście odkryto by dla publicznego pośmiewiska tak mozolnie osłanianą tajemnicę wykształcenia nowoczesnego, bo my nowocześni nie mamy z siebie nic zgoła.

Tylko przez to, że napełniamy i przepełniamy się obcymi czasami, obyczajami, sztukami, filozofiami, religiami, odkryciami, stajemy się czemś godnym uwagi, to jest chodzącymi encyklopedyami, jakby nas może tytułował zabłąkany w nasze czasy Starohelleńczyk. Całą wartość encyklopedyi znajdujemy w tem tylko, co w nich się znajduje, w treści, nie w tem, co na nich się znajduje, lub co jest oprawą lub łupiną; i tak jest całe wykształcenie nowoczesne w istocie swej wewnętrzne; zewnątrz wytłoczył na tem introligator coś jakby „podręcznik wykształcenia wewnętrznego dla zewnętrznych barbarzyńców”.

Ba, to przeciwstawienie wnętrza i zewnętrzności czyni zewnętrzność jeszcze bardziej barbarzyńską, niżby być musiało, gdyby surowy jakiś lud wyrastał tylko z siebie wedle swych grubych potrzeb. Bo jakież srodek pozostaje jeszcze naturze, by pokonać to, co zbyt obficie napiera? Tylko ten jeden srodek: by brać je jak najlżej, by je szybko usunąć i wypchnąć.

Z tego powstaje przyzwyczajenie niebrania już spraw rzeczywistych poważnie; z tego powstaje „słaba osobowość”, skutkiem której to, co rzeczywiste, co istnieje, małe tylko robi wrażenie; człowiek sta-

je się wreszcie względem zewnętrznosci coraz opieszalszy i wygodniejszy i rozszerza niebezpieczną przepaść między treścią i formą aż do znieczulenia dla barbarzyństwa, byle tylko pamięć miała coraz nowe bodźce, byle tylko dopływały coraz nowe, godne widzenia rzeczy, które by można pięknie poustawiać w skrzyniach owej pamięci.

Kultura jakiegoś narodu została już z pewną słusznoscią, jak mniemamy, określona jako jedność stylu artystycznego w wszystkich wyjawach życiowych jakiegoś narodu; określenia tego nie wolno źle rozumieć w tym sensie, jakoby chodziło o przeciwstawienie barbarzyństwa i stylu pięknego. Naród, któremu przyznaje się kulturę, winien być tylko w całej rzeczywistości czemś żywotnie jednym, a nie tak nędznie rozpadać się na wnętrze i zewnętrznosc, treść i formę. Kto chce dążyć i dopomagać do kultury jakiegoś narodu, niech dąży i dopomaga do tej wyższej jedności i niech współpracuje w niszczeniu wykształconosci nowoczesnej na rzecz prawdziwego wykształcenia, niech waży się zastanowić nad tem, jak przywrócić można zakłócone przez historię zdrowie jakiegoś narodu, jak naród ten odnaleźć może swoje instynkty, a przez to swą uczciwosc.

Będę mówił choćby wprost o nas, Niemcach terażniejszych, którzy więcej, niż jakikolwiek inny naród, cierpimy na tę słabosc osobowosci i na sprzeczność treści i formy. Forma uchodzi u nas Niemców powszechnie za konwenans, za przebranie i udanie. I jest przeto jeśli nie znieawidzona, to przecie w każdym razie niekochana, jeszcze właściwiej byłoby rzec, że czujemy nadzwyczajną trwogę wobec słowa konwenans, a również i przed rzeczą będącą konwenansem.

W tej trwodze opuścił Niemiec szkołę Francuzów; gdyż chciał się stać bardziej naturalny i przez to bardziej niemiecki. Jednak zdaje się, że się w tem „przez to” przeliczył: uciekłszy z szkoły konwenansu, pusz-

czał sobie wodze, jak tylko i na co przyszła mu ochota; i podrabiał w gruncie rzeczy w półzapomnieniu niedbale i dowolnie to, co przedtem skrupulatnie i często szczęśliwie naśladował. Tak żyje się w przeciwieństwie do dawnych czasów, i dziś jeszcze w niedbale niepoprawnym konwenansie francuskim; jak okazuje całe nasze chodzenie, stanie, zabawa, ubiór i mieszkanie.

W mniemaniu, że ucieka się do naturalności, wybrano tylko folgowanie sobie, wygodę i jak najmniejszą miarę przewycięzania siebie. Przejdźmy się po jakimś mieście niemieckim – wszelki konwenans, w porównaniu z narodową osobliwoscią miast zagranicznych ukazuje się w negatywie, wszystko jest bezbarwne, zużyte, źle skopiowane, niedbale, każdy postępuje wedle swego upodobania, lecz nie wedle silnego, bogatego myślowo upodobania, jeno wedle praw, które naprzód przepisuje pośpiech, a potem ogólna żądza wygody. Część odzienia, nad której wynalezieniem nie trzeba sobie łamać głowy, której włożenie nie wymaga dużo czasu, więc część odzienia, zapożyczona w obczyźnie i jak najniedbalej naśladowana, uchodzi u Niemców natychmiast za dodatek do stroju narodowego. Zmysł formy odrzucają wprost ironicznie – bo ma się przecie zmysł treści: sąż przecie sławnym narodem wewnętrznym.

Istnieje też jednak sławne niebezpieczeństwo tej wewnętrznosci. Sama treść, o której się twierdzi, że nie może być zgoła zewnątrz widziana, mogłaby się przy sposobności ulotnić; zewnątrz jednak nie zauważono by ani tego, ani jej dawniejszej obecności. Lecz choć wciąż myśleć będziemy, że naród niemiecki jest jak najdalej od tego niebezpieczeństwa: to cudzoziemiec zachowa zawsze nieco słusznosci, wyrzucając nam, że wewnętrznosc nasza jest zbyt słaba i nieuporządkowana, by działać na zewnątrz i nadać sobie formę.

Przytem może ona w rzadkim stopniu okazywać się delikatnie wrażliwą, poważną, głęboką, dobrą i może bogatszą, niż we-

wnętrznosc innych narodow; lecz jako calosc pozostaje slaba, gdyz wszystkie te piekne wlokna nie sa zwiazane w jeden silny wezel: tak ze czyn widzialny nie jest czynem ogolnym i samoobjawieniem tej wewnetrzności, lecz tylko slabiuchną lub surową próbą jakiegoś włókna, chcącego uchodzic raz pozornie za calosc.

Dlatego Niemca nie można zgoła sádzic po jakimś czynie, a jako indywiduum pozostaje on i po tym czynie jeszcze calkowicie ukryty. Wiadomo, ze mierzyc go trzeba wedle jego mysli i uczuc, a te wypowiada on teraz w swych ksiazkach. Gdyby tylko wlasnie te ksiazki nie obudzily niedawno wiecej niz kiedykolwiek watpliwosci, czy slawna wnetrzność rzeczywiscie jeszcze siedzi w swjej niedostepnej swiatynice: straszna by to byla mysł, ze pewnego dnia zginela i ze teraz jeszcze tylko zewnetrzność, ta dumna, niezgrabna i pokornie niedbala zewnetrzność pozostala jako oznaka Niemca.

Prawie rownie straszna, jak gdyby wewnetrzność owa, acz widziec tego nie można, siedziala tam sfalszowana, pofarbowana, pomalowana i stala sie aktorką, jesli nie czems jeszcze gorszem: jak to naprzyklad stojacy na uboczu i przypatrujacy sie cicho Grillparzer zdaje sie przypuszczac ze swego dramatyczno-teatralnego doswiadczenia. „Czujemy abstrakcją, mowi on, nie wiemy juz prawie, jak uzewnetrznia sie uczucie u naszych wspolczesnikow: kazemy im wyprawiac skoki, jakich dzisiaj juz nie wyprawiaja. Szekspir zepsul nas wszystkich nowszych”.

Jest to poszczegolny, moze zbyt szybko uogolniony wypadek. Lecz jakze straszne bylyby jego usprawiedliwione uogolnienie, gdyby poszczegolne wypadki zbyt czesto narzucaly sie postrzegaczowi, jak rozpaczliwie brzmiaby zdanie: my Niemcy odczuwamy abstrakcją; jesteśmy wszyscy zepsuci przez historie – zdanie, ktore by zniszczilo u korzeni wszelka nadzieje na jakas przyjscie jeszcze majaca kulture narodowa, bo, kazda taka nadzieja wyrasta

z wiary w szczerosc i bezposredniosc uczucia niemieckiego, z wiary w nienaruszona wewnetrzność.

Czego sie jeszcze spodziewac, w co wierzyc, jesli zmętnialo zrodlo wiary i nadziei, jesli wewnetrzność nauczyla sie wyprawiac skoki, tańczyć, szminkowac sie, uzewnetrzniac sie abstrakcją i wyrachowaniem i zwolna tracic sama siebie! I jakze wielki duch produktywny wytrzymac ma jeszcze wsród narodu, ktory swjej jednolitej wewnetrzności nie jest juz pewien i ktory rozpada sie na wyksztalconych, o wewnetrzności opacznie wychowanej i uwiedzionej, na niewyksztalconych o wewnetrzności niedostepnej!

Jak moze on wytrzymac, jesli zginela jednosc uczucia narodowego, jesli nadto wie, ze wlasnie w tej czesci, ktora zwie sie wyksztalconą czescią narodu i rosci sobie prawo do narodowych duchow artystycznych, uczucie jest sfalszowane i ubarwione. Niechby tu i owdzie sad i smak jednostki stal sie nawet delikatniejszy i subtelniejszy – to nie jest dlań odszkodowaniem. Dręczy go, ze musi mowic niejako tylko do jednej sekty i ze wposród swego narodu nie jest juz konieczny.

Moze teraz skarb swój raczej pogrzebie, bo czuje wstręt, by pretensjonalnie patronowala mu sekta, gdy serce jego pelne jest wspolczucia dla wszystkich. Instykt narodu nie wychodzi juz na jego spotkanie; daremnie wyciagac ku niemu z tesknota ramiona. Cóz pozostaje mu teraz jeszcze, jezeli nie to, zeby zwrócic swój gniew natchniony przeciw owemu hamujacemu wyłączeniu, przeciw szrankom, wzniesionym w tak zwanem wyksztalceniu jego narodu, by jako sędzia przynajmniej potepic to, co dla niego, zyjacego i zycie plodzacego, jest zniszczeniem i zhańbieniem.

Więc zamienia glębokie zrozumienie swego losu za boska rozkosz twórcy i wspomozyciela i konczy jako samotny wiedzacy, jako przesycony mędrzec. Widok to przebolesny; kto to w ogole widzi, pozna tu swię-

te przymuszenie. Mówi sobie: tu trzeba pomóc, powrócić musi znowu owa wyższa jedność w naturze i duszy narodu, rysa między wnętrzem i zewnętrżnością znów musi zniknąć pod razami młota konieczności.

Jakich więc środków ma się chwycić? Cóż pozostaje mu znów prócz jego głębokiego poznania? Głosząc je, rozpowszechniając, pełnemi rozsiewając dłońmi; spodziewa się zaszcześcić potrzebę. A z silnej potrzeby powstanie kiedyś silny czyn. I abym nie pozostawił żadnej wątpliwości, skąd biorę przykład owej konieczności, owej potrzeby, owego poznania, to niech tu wyraźnie zaświadcze, że dążymy do jedności niemieckiej w owem najwyższym znaczeniu i dążymy goręcej, niż do zjednoczenia politycznego; do jedności ducha i życia niemieckiego po zniszczeniu przeciwstawienia treści i formy, wewnętrżności i konwenansu.

5.

Z pięciu względów zdaje mi się przesyć jakiegoś czasu w historii być wrogi i niebezpieczny dla życia. Nadmiar taki wytwarza ów dotąd omawiany kontrast wnętrza i zewnętrżności i osłabia przez to osobowość; nadmiar ten wmawia w pewne czasy, że posiadają one najrzadszą cnotę, to jest sprawiedliwość, w stopniu wyższym niż wszystkie inne okresy. Nadmiar ten burzy instynkty narodu i przeszkadza dojrzaniu niemniej jednostki, jak i całości. Nadmiar ten zaszczeplia szkodliwą każdego czasu wiarę w starość ludzkości, wiarę, że się jest spóźnionem dzieckiem i epigonem. Nadmiar ten wprawia pewne czasy w niebezpieczny nastrój ironii co do siebie, a następnie w jeszcze niebezpieczniejszy nastrój cynizmu. W tym nastroju jednak dojrzewają one coraz bardziej do mądrej egoistycznej praktyki, która paraliżuje i w końcu niszczy moce życiowe.

A teraz wróćmy do naszego pierwszego twierdzenia, że człowiek nowoczesny cierpi na osłabienie osobowości. Jak Rzy-

mianin z czasów Cesarstwa stawał się nierymski, patrząc na okrąg świata, będący mu na usługi, jak sam się zatracił wśród napływu obcości, wyrodniał wśród kosmopolitycznego karnawału bogów, obyczajów i sztuk, tak musi się stać człowiekiem nowoczesnym, który ustawicznie każe sobie przez swych artystów historycznych urządzić święto wystawy światowej; stał się on używającym i przechadzającym się widzem i wprawiony został w stan, w którym nawet wielka wojna, wielka rewolucja ledwo na chwilę jakąś zmianę wywołać zdoła.

Jeszcze się wojna nie skończyła, a już przerobiona została sto tysięcy razy na zadrukowany papier, już podają ją jako najnowszy środek podniecający znużonym podniebieniem głodnym historii. Zda się prawie niemożliwością wydobyć silny i piękny ton nawet najpotężniejszym uderzeniem w struny: natychmiast przebrzmiewa on znowu, w następnem już okamgnieniu gaśnie historycznie, delikatnie, mglisto i bezsilnie. Mówiąc w sposób moralny: nie udaje wam się już pochwycić wzniosłości, czyny wasze są nagłymi razami, nie grmiącymi gromami. Dokonajcie czegoś największego i najdziwniejszego, mimo to zstąpi ono bezspiewnie i bezdzwięcznie do Orkusa.

Bo sztuka ucieka, gdy nad czynami swymi rozpinacie natychmiast namiot historyczny. Kto chce w jednej chwili zrozumieć, obliczyć, pojąć tam, gdzie miał w długim wstrząśnieniu ująć to, co niezrozumiałe, jako wzniosłe, może być mądrym zwany, jednak tylko w znaczeniu, w którym Schiller mówi o rozumie rozumnych: nie widzi on czegoś, co przecie dziecko widzi, nie słyszy czegoś, co przecie dziecko słyszy; to coś jest właśnie najważniejsze: ponieważ tego nie rozumie, jest rozumienie jego dziecinniejsze niż dziecko i naiwniejsze niż naiwność, mimo wielu chytrych fałdzyków jego pergaminowej twarzy i wirtuozowskiej biegłości palców w rozplątywaniu płatanin.

To znaczy: zniszczył on i stracił swój instynkt, nie może już, ufając „boskiemu zwierzęciu”, zawiesić cugli, gdy rozum jego się waha, a droga wiedzie przez pustynie. Więc indywiduum staje się trwożne i niepewne i nie śmie już sobie wierzyć: zapada samo w siebie, we wnętrzość, co tu znaczy tylko: w nagromadzoną kupę rzeczy nauczonych, które nie działają na zewnątrz, pouczeń, które nie stają się życiem.

Jeśli się pójrzy na zewnętrzość, to zauważy się, jak wypędzenie instynktów przez historię przetworzyło ludzi na same prawie *abstracta* i cienie: nikt nie ryzykuje już swojej osoby, lecz maskuje się jako człowiek wykształcony, jako uczonego, jako poeta, jako polityk. Jeśli się takie maski zaczepi, ponieważ się sądzi, że biorą rzecz poważnie, a nie bawią się tylko w teatr lalek – bo wszystkie społeczeństwa wystawiają powagę na pokaz – to ma się nagle w rękach tylko gałgany i pstręgi. Przeto nie należy się dać ludzi, przeto trzeba ich zgromić: „zrzućcie wasze kaftany, lub bądźcie, czem się zdajecie!” Niechże każdy z natury poważny nie musi już stawać się Don Kichotem, skoro ma coś lepszego do roboty, niż bić się z takimi rzekomymi rzeczywistościami. W każdym razie jednak musi patrzeć bystro, przy każdej masce wołać swe „stój, kto idzie!” i ściągać jej maskę na kark!

Dziwne! Można by mniemać, że historia dodaje ludziom przede wszystkim odwagi być uczciwym i – choćby się nawet uczciwym błaznem być miało; i zawsze to było jej działaniem, tylko teraz już nie! Wykształcenie historyczne i mieszczański surdut uniwersalny panują równocześnie. Chociaż nigdy jeszcze nie mówiło się tak pełnym dźwiękiem o „wolnej osobowości”, nie widzi się nawet osobowości, nie mówiąc już o wolnych, jeno samych trwożnie okrytych ludzi uniwersalnych.

Indywiduum cofnęło się do wnętrzości. Z zewnątrz nie znać go zgoła; wobec czego wątpić wolno, czy w ogóle istnieć mogą przyczyny bez skutków. Lub by-

łoby do strzeżenia wielkiego dziejowego haremu świata, potrzebne pokolenie eunuchów? Tym oczywiście jest z czystą obiektywnością bardzo do twarzy. Zdaje się przecie prawić, jakby zadaniem było czuwać nad historią, by nic z niej nie wyszło, tylko właśnie historie, lecz jużci żadne zdarzenie! Strzec, by przez nią osobowości nie stały się „wolne”, to ma znaczyć prawdziwe wobec siebie, prawdziwe wobec innych, i to w słowie i czynie.

Dopiero ta prawdziwość dobędzie na jaw potrzebę, wewnętrzną nędzę człowieka nowoczesnego. I wówczas mogą na miejsce owych lękliwie ukrywających konwencji i maskarad wstąpić jako prawdziwe pomocniczki sztuka i religia, by wspólnie zaszczerpić kulturę odpowiadającą prawdziwym potrzebom; a nie, jak nas terazniejsze ogólne wykształcenie uczy, okłamywać się co do tych potrzeb i przez to stawać się chodzącym kłamstwem.

W jakież nienaturalne, sztuczne i w każdym razie niegodne położenie wpaść musi w czasie, który cierpi na wykształcenie ogólne, najprawdziwsza z wszystkich nauk, uczciwa naga bogini filozofia! Staje się ona w takim świecie wymuszonej zewnętrznej jednokształtności uczonego monologiem przechadzającego się samotnika, przypadkową zdobyczą myśliwską jednostki, ukrytą tajemnicą pokojową lub nieszkodliwą gadaniną akademickich starców i dzieci. Nikt nie śmie się ważyć dopełnić na sobie prawa filozofii, nikt nie żyje filozoficznie, z ową prostą wiernością męską, która człowieka starożytnego zmuszała, gdziekolwiek był, cokolwiek czynił, zachowywać się jak stoik, skoro raz stoik wierność ślubował.

Całe filozofowanie nowoczesne jest polityczne i policyjne, ograniczone przez rządy, kościoły, akademie, obyczaje i tchórzostwa ludzi do uczonego pozoru. Kończy się na westchnieniu „gdyby przecie” lub na poznaniu „było raz”. Filozofia jest w obrębie wykształcenia historycznego bez prawa, jeśli chce być czemś więcej, niż wewnątrz-

nie powstrzymaną wiedzą bez działania; gdyby człowiek nowoczesny był w ogóle jeszcze odważny i zdecydowany, gdyby nawet w nieprzyjaźniach swych nie był istotą tylko wewnętrzną, to by ją wyświecił /przepędził – red./; tak – zadowala się wstydliwym odziewaniem jej nagości.

Tak, myśli się, pisze się, drukuje się, mówi się, uczy się filozoficznie – dotąd wolno w przybliżeniu wszystko; tylko w działaniu, w tak zwanem życiu jest inaczej: tu jest zawsze tylko jedno pozwolone, a wszystko, inne wprost niemożliwe: tak chce wykształcenie historyczne. Sąż to jeszcze ludzie, pytamy się, czy może tylko maszyny myślące, piszące i mówiące?

Goethe mówi raz o Szekspirze: „Nikt bardziej od niego nie gardził kostyumem materialnym; zna on bardzo dobrze wewnętrzny kostyum człowieczy, a w tem wszyscy są sobie równi. Mówią, że wybornie przedstawił Rzymian; nie jestem tego zdania, są to sami wcieleni Anglicy, ale oczywiście ludzie z gruntu, a na tych leży dobrze także toga rzymska”.

Otóż pytam, czy byłoby choćby tylko możliwe naszych dzisiejszych literatów, trybunów, urzędników, polityków wystawić jako Rzymian; nie da się to absolutnie, bo nie są ludźmi zgoła, tylko wcielonymi kompendyami i niejako konkretnymi abstraktami. Gdyby mieli mieć charakter i własny temperament, to tkwi to wszystko tak głęboko, że nie może się zgoła wywinąć na światło dzienne: gdyby mieli być ludźmi, to są nimi jednak tylko dla „badacza nerek”.

Dla każdego innego są czemś innym. Nie ludźmi, nie bogami, nie zwierzętami, lecz tworamii wykształcenia historycznego, zgoła wykształceniem, obrazem, formą bez dającej się wykazać treści, niestety tylko złą formą, a ponadto uniformem. I tak niech będzie rozumiane i rozważane me zdanie: historię znoszą tylko osobowości silne, inne gasi ona zupełnie. To dlatego, że wikła uczucie i wrażliwość tam, gdzie one dość silne nie są, by mierzyć przeszłość wedle siebie.

Bo kto nie waży się już ufać sobie, lecz samowolnie dla uczucia swego szuka w historii rady „jak mam czuć w tym wypadku», ten stopniowo stanie się ze strachu aktorem i gra rolę, przeważnie nawet wiele ról; i dlatego wszystkie tak źle i płasko. Stopniowo ginie wszelka równowaga między mężem a jego historyczną dziedziną; widzimy małych krzykliwych chłopców, obcujących z Rzymianami, jakby to byli im równi: a w szczątkach poetów greckich gmerają i grzebią, jak gdyby i te *corpora* leżały gotowe do ich sekcji i były *vilia /marne – red./*, czem mogą być ich własne *corpora* literackie.

Przypuścimy, że ktoś zajmuje się Demokrytem, to mam zawsze pytanie na języku: dlaczego właśnie Demokryt? Czemu nie Heraklit? lub Filon? lub Bacon? lub Kartezyusz? — i tak dalej wedle upodobania. A potem: dlaczego właśnie filozof? Czemu nie poeta, nie mówca? I dlaczego w ogóle Grek, czemu nie Anglik, nie Turek? Czyż przecie przeszłość nie jest dość wielka, by znaleźć coś, przyczem nie wydawalibyście się sami tak śmiesznie dowolni?

Lecz, jak się rzekło, jest to pokolenie eunuchów; dla eunucha jest ta kobieta czy tamta, właśnie tylko kobietą, kobietą samą w sobie, czemś wiecznie nieprzystępnem — i tak jest obojętne, co robicie, byle tylko historia sama pięknie „obiektywnie” strzeżona była /kor. red./, mianowicie przez takich, którzy nigdy sami historii tworzyć nie umieją. A ponieważ pierwiastek wieczysty kobiecości nigdy ku górze pociągać was nie będzie, więc ściągacie go ku sobie w dół i jako *neutra*, bierzecie też historię jako *neutrum*.

Aby jednak nie sądzono, że poważnie porównywaną historię z pierwiastkiem wieczystym kobiecości, to wypowiem się raczej jaśniej, że uważam ją – przeciwnie – za pierwiastek wieczysty męskości: tylko że tym, którzy na wskroś są „historycznie wykształceni”, musi być wcale obojętne, czy jest ona tem pierwszym czy drugim:



Weimar. Ostatni dom filozofa

sami przecie nie są ani mężczyznami, ani kobietami, ani nawet *communia* /obojnakami – *red.*/, jeno zawsze tylko *neutra* lub, wyrażając się wykształceniej, właśnie tylko wiecznie obiektywnymi.

Kiedy osobowości zostały już w sposób wyżej opisany wydęte do wiecznej bezpodmiotowości lub, jak się mówi, przedmiotowości, to nic już nie zdoła na nie działać; niech zdarzy się coś dobrego i po rządne-go, jako czyni poezya, muzyka, to natychmiast wydrążony człęk z wykształceniem traci z oczu dzieło i pyta o historję autora. Jeśli ten niejedno już stworzył, musi natychmiast pozwolić wytłumaczyć sobie dotychczasową i przypuszczalnie dalszą drogę swego rozwoju. Natychmiast bywa obok innych dla porównania stawiany ze względu na wybór swego przedmiotu, jego traktowanie; sekcyonowany, rozdierany, mądrze na nowo składany i na ogół ciągle napominany i poucany.

Niech stanie się coś najbardziej zdumiewającego, to zawsze znajdzie się na miejscu gromada neutralów historycznych gotowa patrzeć na autora już z wielkiego oddalenia. W okamgnieniu głosi się echo: lecz zawsze jako „krytyka”, choć krótko przedtem ani się krytykowi śniło o możliwości zdarzenia. Nigdzie nie przychodzi do działania, lecz zawsze i ciągle tylko do „krytyki”; a krytyka sama nie wywiera znów żadnego działania, tylko doznaje znowu krytyki.

Przytem zgodnie postanowiono uważać wiele krytyk za działanie, lecz mało lub żadną za niepowodzenie. W gruncie jednak, nawet przy takim „działaniu” pozostaje wszystko po staremu: gada się wprawdzie czas jakiś coś nowego, lecz potem znów coś nowego i czyni się tymczasem to, co się zawsze czyniło.

Wykształcenie historyczne naszych krytyków nie pozwala już zgola, by przyszło do jakiegoś działania w właściwym rozumieniu, to znaczy do działania na życie i czyny: na najczarniejsze pismo kładą natychmiast swą bibułę, na najwdzięczniejszym rysunku smarują grube krechy swojego pendzla, które należy uważać za korektę: znowu coś się skończyło. Nigdy jednak z krytycznego pióra ciec nie przestaje, bo stracili moc nad niem, i raczej pióro ich prowadzi, niż oni pióro. Właśnie w tym braku miary ich wylewów krytycznych, w braku panowania nad sobą samym, w tem, co Rzymianie *impotentia* zowią, zdradza się słabość osobowości nowoczesnej. □

**Niewczesne rozważania* Przełożył Leopold Staff. e-Mortkowicz, Cyfrowa reedycja młodopolskiego wydania Dzieł Fryderyka Nietzschego z zachowaniem paginacji i układu graficznego. Nietzsche Seminarium, Łódź-Wrocław 2009-2010. Redakcja: Jakub Wroński, Tymoteusz Słowiński

ANDRZEJ CORYELL – myśli

1. Tam, gdzie palono książki, palono ludzi, a tam, gdzie palono ludzi, teraz czyta się książki; nazwijmy to przerażająco-optimistycznym obrotem koła.
2. Co robi wolność w środku każdego ogniwa? – dopytują się łańcuchy.
3. Postaw znak zapytania: otrzymasz pytanie jako odpowiedź.
4. Bogowie sprawdzają się w micie.
5. Tym, którzy chcieli stworzyć nowego człowieka, zawsze udawało się wyhodować nowe bestie.
6. Miał skazę nawet na skazie na honorze.
7. Jedynym widzialnym duchem jest duch litery prawa.
8. Można poślizgnąć się i spaść ze świecznika na jeszcze wyższy.
9. I pole bitwy może okazać się żyznym polem do popisu.
10. Cóż po wewnętrznym głosie, jeśli by nie miał własnego zdania?
11. Jak zdobyć zaufanie za dwa grosze? – dopytywał się grosik.
12. Od taniego optymizmu nie gorszy przepłacony pesymizm.
13. Spłaciłem rachunek sumienia łącznie z vat.
14. Późne życie Syzyfa rozpisane jest na dwa przeciwstawne głosy: pierwszy z nich jęczy, drugi milczy głazem.
15. Dzięki doświadczeniu Ikara nie przyklepiamy woskiem skrzydeł do kadłuba samolotu.
16. W pewnym wieku nawet na „za późno” jest za późno.
17. Bojaźliwe drogowskazy trzymają się bezpiecznych dróg.
18. Czytelnik idealny to ktoś, kto nie przeczytał jeszcze żadnej książki.
19. Obroża obiecuje wolność, smycz – niepodległość, kaganiec nie obiecuje niczego.
20. Góry rodzą myszy, które rodzą góry i tak kręci się nasz górskomysi świat.
21. Łatwo zbłądzić w drodze na manowce.
22. Najtrudniej dojść do rozdroża. Potem jest jeszcze trudniej.

JÓZEF KABAJ

ZBIOROWA MĄDROŚĆ?

Ideologie tzw. demokracji ludowych odwołują się z reguły do tego pojęcia. Jest ono wewnętrznie sprzeczne prawie tak samo jak „demokracja ludowa”.

Dlaczego sprzeczne? Bo mądrość jest pojęciem ogólnym i jako taka ani się nie akumuluje jak kapitał, ten ciułany czy tamten grabiony, ani nawet się nie poddaje prostym działaniom arytmetycznym.

Weźmy dowolnych dwóch mędrców, dajmy na to Pitagorasa i Sokratesa. Wprawdzie obaj są w znacznym stopniu legendarni, lecz pozostały po nich niepodważalne dokonania. Po pierwszym w matematyce właśnie, dokładniej w geometrii (choć nie tylko), a po drugim idealizm obiektywny, uprawiany i zapisany przez jego ucznia Platona. Jedna z tez tego drugiego mówi, że dobrze jest mieć świadomość niewiedzy; inna zaś, że lepiej dla człowieka, jeśli ktoś mu wyrządza krzywdę, niżby on sam krzywdził. Nie da się zaprzeczyć – choć na oko wydaje się to zasadą kontrowersyjną, czy wręcz utopijną – że jest w niej jakiś ponadczasowy ideał, który niestety przegrał z chrześcijańskim miłosierdziem; w każdym razie z tym „miłosierdziem”, które obserwujemy na każdym kroku w Kraju i za jego granicami.

I co nam wyjdzie z dodania jednego do drugiego, Sokratesa, młodszego zresztą o parę wieków, do Pitagorasa? Ano wyjdzie coś, mianowicie kawałek (dzisiaj) historii nauki i mądrości etycznej. Ale to nie jest suma. Ani dzieło zbiorowe.

Innym – też zresztą pradawnym – przykładem działania „zbiorowej mądrości” może być sąd nad Sokratesem. Został mianowicie pozwany przez duchownego ów-

czesnej religii państwowej Aten i pewnego poetę (który pozatem nie wszedł do historii poezji), o to głównie, że wprowadza obcych bogów i psuje młodzież. Ci „obcy bogowie” to w danym przypadku głos wewnętrzny, na który powoływał się Sokrates jak na wyrocznię, kiedy nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, co jest lepsze.

Tego to idealistycznego wychowawcę sądził trybunał składający się z przedstawicieli dzielnic ateńskich, jak najbardziej demokratyczny, tylko że – według Platona, świadka tych wydarzeń, arystokraty z pochodzenia zresztą – kompletnie niekompetentny. Pokazał on to w *Obronie Sokratesa przed sądem*, jak to „sędziowie”, w liczbie ponad 500, znający się na rybołówstwie, płatnerstwie czy rymarstwie, dokonali tego, co się w naszych czasach określa mianem morderstwa sądowego (z niemiecka Justizmord), skazując Sokratesa na karę śmierci.

Tak to ponad 2400 lat temu demokracja wyrodziła się w ochlokrację, czyli w rządy tępego motłochu. Potem Rzym podbił Grecję i „wymyślił” senat, do którego składu wpisywano automatycznie (ściśle robił to cenzor, którego rola polegała na szacowaniu majątków); co miało taki skutek, że 100 najbogatszych wchodziło do najwyższej władzy Republiki Rzymskiej. To taka odmiana demokracji, czyli rządów ludu... Wszak *res publica Romana*, czyli Rzeczpospolita Rzymska, nazwę wzięła od ludu (po łacinie *populus* – wcześniej to brzmiało *res populica*; teraz też niektórzy używają wyrazu *populizm*).

Tak więc – że przeskoczę teraz schyłek starożytności, wieki średnie, Odrodzenie i czasy nowożytne (zostawiając je do

rozważań przy innej okazji) – koło historii się kręci, kolebie na koleinach i podskakuje na wykrotach, a co pewien czas zatacza krąg. Historia nawet – jak powiadają niektórzy (ciągle jesteśmy w orbicie metafory) – lubi się powtarzać; tyle że następnym razem jako farsa; jak to miał powiedzieć niejaki Karol Marks.

Natomiast schodząc z wyżyn metaforycznego ujmowania rzeczywistości obserwujemy istny renesans demokracji. Czy ta, którą widzimy w tv i w realu, słyszymy na ulicy czy w sklepie, przypomina nam tamte demokracje: starogrecką z IV wieku p.n.e. i rzymską czasów Juliusza Cezara? Wygląda na to, że już jesteśmy blisko tamtych wzorów; tak jeśli chodzi o publiczny tryb postępowania sądowego i wyrokowania, jak i wyrokowania wedle „woli ludu”. Gdy zaś chodzi o porównanie ze starożytnym

Rzymem, to bliżej nam do cesarstwa, niestety. Analogia do Nerona, Tygellina i Złego Domu (*aurea domus*) jest więcej niż oczywista.

Nawiasem: pojęcie „demokracja ludowa” to błąd logiczny, bo po starogrecku *demōs* znaczy właśnie „lud”. Czyli ludowe ludowładztwo. Czyżby już nam zajaśniała „światłana przyszłość”? Należeliśmy kiedyś – politycznie – do grupy krajów szczytujących się tym absurdalnym wezwaniem, czyli „demoludów” nie całkiem chlubnej pamięci. Ale co tam. U nas nawet „wieczne dziewictwo” jest czymś akceptowanym i poniekąd normalnym... □

Aforyzm (JK):

Imponują nam ludzie naszej miary. Większych od nas po prostu nie rozumiemy...

Julian Tuwim

DO LOSU

Miłość mi dałeś, młodość górną,
Dar ładu i wysokie żądze.
I jeszcze na uciechę durniom,
Raczyłeś dać mi i pieniądze.

Płonącą kroplą obłąkania
W mózg szary mój sączyłeś tęczę.
Miraże wstają wśród mieszkania,
Palcami w stół na lutni dźwięczę.

I gdy poniosło, to już niesie,
Roztrącam dni i rwę na części,
I w zgiełku wieku, i w rwetesie
Ubrdało mi się jakieś szczęście:

Rytmowi przebieg chwil powierzać,
Apollinowym drząc rozmysłem,
Surowo składać i odmierzać
Wysokim kunsztem słowa ściśle.

I wtedy kształt żywego ciała
W nieład rozpadnie się plugawy,
Ta strofa, zwarta, zwięzła, cała,
Nieporuszona będzie stała
W zimnym, okrutnym blasku sławy.

Smutku! Uśmiechu! Melancholio!
W bęben żałobny bije gloria...
I smutnie brzmi: „Dum Capitolium ...”
I śmieszne jest: „Non omnis moriar”

MAŁGORZATA MARKIEWICZ

CZY MOŻNA ZNALEŹĆ ZŁOTO W MATEMATYCE?

O matematyce można powiedzieć wiele dobrego, gdy się ją zna dobrze i lubi, ale też złego – głównie gdy się doświadcza wielkich trudności przy jej poznawaniu. Jednak za najbardziej krzywdzącą uważam opinię jakże często powtarzaną przez uczniów:

„matematyka jest nudna”.

Nie, nie jest nudna. Im bardziej się ją poznaje, tym bardziej dostrzega się jej piękno. Dlaczego uczniowie po wielu latach nauki nadal widzą w niej nudę? To w dużej mierze wina systemu edukacji, który wymusza realizację podstawy programowej w szybkim tempie, pod presją konsekwencji egzaminów maturalnych.

Być może matematyka wydałaby się uczniom mniej nudna, gdyby niekiedy lekcja mogła mieć temat i przebieg niezupełnie zbieżny z rozkładem materiału?

Temat: Poszukiwacze złota.

nauczyciel:

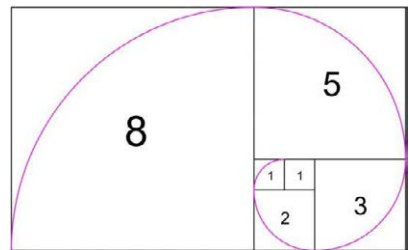
– Na dzisiejszej lekcji mieliśmy przedstawić wyniki poszukiwania złota w matematyce. Kto chciałby opowiedzieć o skutkach swoich poszukiwań?

Jaś:

– Ja znalazłem „złoto” w figurze geometrycznej, którą wszyscy dobrze znamy. Okazało się, że wśród prostokątów są „złote”. Wyróżniają się tym, że jeden bok jest ok. 1,618 razy większy od drugiego.

„Złoty” prostokąt ma taką własność, że jak odetniemy od niego kwadrat o boku równym krótszemu bokowi prostokąta,

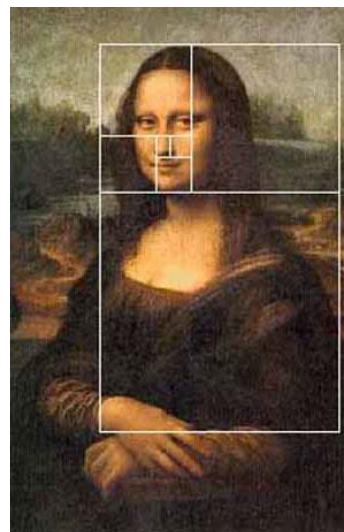
to otrzymamy prostokąt, którego boki nadal pozostają w tym stosunku. I tak można działać w nieskończoność, a zawsze otrzymamy „złoty” prostokąt.



Kasia:

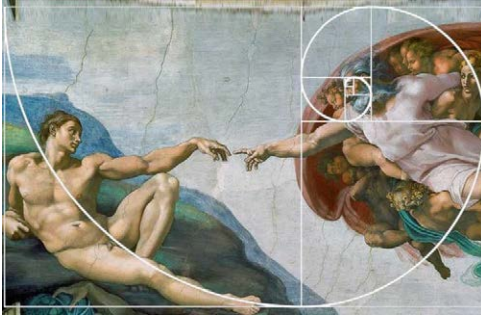
– Ja znalazłam zastosowanie „złotego” prostokąta w obrazie „Mona Liza” Leonarda da Vinci.

Zarówno całość, jak i sama twarz układają się w kształty „złotych” prostokątów.



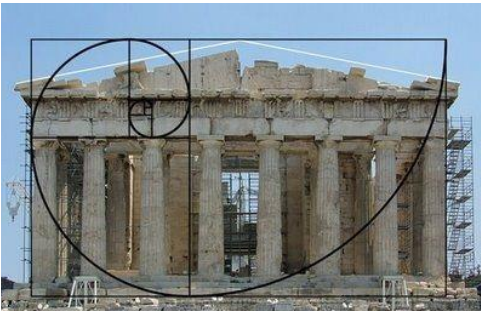
Basia:

– Podobnie jest z dziełem Michała Anioła „Stworzenie Adama” w Kaplicy Sykstyńskiej.



Zosia:

– Mój tata jest architektem i pokazał mi wiele budowli, w których sprawdza się ta zasada, np. Partenon w Atenach.



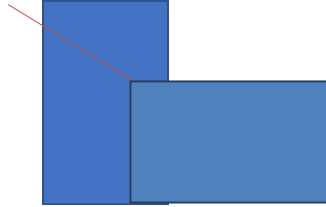
Maja:

– Takie prostokąty są też w przyrodzie.



Piotr:

– A ja wiem jak rozpoznać „złoty” prostokąt bez mierzenia długości boków. Wystarczy dwa jednakowe prostokąty (jeden poziomo, drugi pionowo) połączyć krótszym i dłuższym bokiem.



Jeśli linia łącząca przeciwległe wierzchołki przejdzie przez górny wierzchołek odcinka łączącego prostokąty – mamy ZŁOTY PROSTOKĄT.

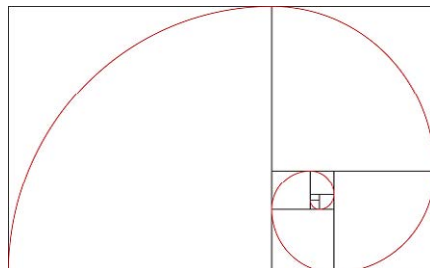
nauczyciel:

– Sprawdźcie czy karty kredytowe, banków lub dowody osobiste waszych Rodziców są „złotymi” prostokątami. Może znajdziecie jeszcze inne przykłady i przekonacie się, jak często mamy z nimi do czynienia w codziennym życiu?

Podaliście świetne przykłady „złotych” prostokątów! Jest ich mnóstwo w sztuce i w naturze. Są fascynujące i moglibyśmy o nich rozmawiać jeszcze długo (wspomnę tylko, że są także „srebrne” prostokąty), ale może ktoś znalazł jakieś inne złoto?

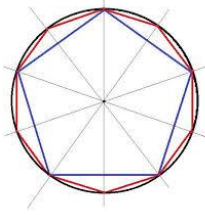
Ania:

– „Złota” spirala – powstaje z fragmentów okręgów narysowanych w kwadratach odcinanych w „złotym prostokącie”, co świetnie widać w poprzednich przykładach i w tym pierwszym przykładzie Jasia.



Krzysz:

– Ja znalazłem „złoty” trójkąt. To trójkąt równoramienny, w którym stosunek boku do podstawy jest równy ok. 1,61. Łatwo zauważyć takie trójkąty po narysowaniu przekątnych w pięciokącie lub dziesięciokącie foremnym.



Asia:

– A ja znalazłam „złoty” ułamek. Taki dziwny piętrowy ułamek nazwany łańcuchowym $x + \frac{1}{x + \frac{1}{x + \dots}}$ jest „złoty”, jeśli $x = 1$.

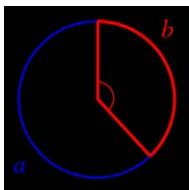
Piotr:

– „Złoty” podział odcinka polega na takim podziale na dwie części, by stosunek długości dłuższej części do krótszej był taki sam, jak całego odcinka do części dłuższej. Wówczas długość dłuższej części jest średnią geometryczną długości krótszej części i całego odcinka.

Ala:

– Złoty kąt to kąt środkowy oparty na mniejszym z dwóch łuków powstałych w wyniku złotego podziału okręgu. W przybliżeniu jego miara wynosi $137,507764^\circ$. Iloraz miary tego kąta i jego dopełnienia do kąta pełnego jest równy ok. 1,618.

Ziarna słonecznika rosną pod takim właśnie kątem 137.5 stopni.



nauczyciel:

– Dziękuję 😊

Wszyscy odnieśliście sukces i okazaliście się skutecznymi poszukiwaczami złota!

Gratulacje!

Może Was zaskoczę, ale to wszystko, co odkryliście jest skutkiem istnienia WIELKIEJ, choć MAŁEJ liczby. Jest wielka, bo składa się z nieskończenie wielu cyfr, a mała, gdyż jej wartość jest niewiele większa od liczby 1. Jest to liczba ϕ (czyt. „fii”).

Liczba ta zasłużyła sobie na wiele przydomków:

- złota liczba,
- złota proporcja,
- złoty stosunek,
- boski stosunek.

Można ją zapisać w postaci ułamka zwykłego oddającej jej dokładną wartość:

$$\phi = \frac{1 + \sqrt{5}}{2}$$

oraz w postaci ułamka dziesiętnego nieskończonego:

$$\phi = 1,6180339887498948482\dots$$

a także w postaci ułamka łańcuchowego:

$$\phi = 1 + \frac{1}{1 + \frac{1}{1 + \frac{1}{1 + \frac{1}{1 + \dots}}}}$$

i jeszcze w postaci pierwiastka:

$$\phi = \sqrt{1 + \sqrt{1 + \sqrt{1 + \sqrt{1 + \sqrt{1 + \dots}}}}}$$

Matematyka nie jest nudna – jest magiczna. 😊

MATMA
JEST
PROSTA



DANUTA STOLAREK

KSIĘŻNA OLGA

Jest to jedna z najbardziej zagadkowych postaci w historii Rosji. Niby o niej dużo wiadomo, ale jeśli oddzielimy źródła cerkiewne, różne przekazy kronikarskie i legendy od źródeł oficjalnych – wiemy bardzo niewiele.

Pierwsza kobieta na tronie Rusi Kijowskiej. Była regentką podczas niepełnoletności syna Światosława, żoną księcia Igora, domniemanego syna Ruryka. Pamięć o niej zachowała się zarówno dzięki cerkwi prawosławnej, jak i oficjalnej historiografii. Życiorys trudno oddzielić od hagiografii stworzonej na okoliczność kanonizacji. Do dziś nie zostały ustalone data ani miejsce jej urodzenia, pochodzenie, ani też prawdziwe imię. Zbyt dużo sprzecznych wiadomości w źródłach, jak też i hagiografia cerkiewna – wszystko to nie pozwala na ustalenie faktów.

Lew Gumilow polemizował z nieścisłościami chronologicznymi kronikarzy, przyjmujących datę jej urodzenia na rok 893 i podających, że w Konstantynopolu była w 955 r., co oznaczałoby, że miała wówczas 62 lata. Kronikarz Nestor zapewniał, że Konstantyn był tak nią oczarowany, że chciał się z nią ożenić. Zatem wyraża przypuszczenie, że podróż odbyła się nie później niż w 946 roku.

Według jednych źródeł księżę przywiózł ją w 903 r. z Pleskowa (dzisiejszy Połock), według innych z bułgarskiego miasta Pliskuwo (dawna stolica Bułgarii). Według jednej ze staroruskich kronik należała do dynastii władców Izborgskich, jednej z zapomnianych dynastii, których na Rusi X-XI wieku było ponad dwadzieścia i albo zostały wyparte przez Rurykowiczów, albo też połączyły się z nimi poprzez małżeństwa.

Część z nich miała korzenie słowiańskie, część wareskie.

Z historii wiadomo, że władcy skandynawscy, osiedlając się na słowiańskich ziemiach i obejmując trony książęce, porozumiewali się w lokalnym języku, przejmowali zwyczaje i styl życia, zmieniali imiona na ruskie. W ten sposób księżna Helga (zdaniem historyków) stała się Olgą (według innych Wolgą). Żeńska wersja imienia Olga pochodzi od imienia Oleg (Helgi – święty według obrzędów pogańskich).

Według innych źródeł imię Olga wywodzi się z prostego ludu przewoźników rzecznych ze wsi Wykuty, ok. 10 km od dzisiejszego Pskowa. Tę legendę szerzyła cerkiew – wywodząca się z prostego ludu propagatorka chrześcijaństwa. Można spotkać też inną informację, że miała na imię Prekrasa i pochodziła z rodu nowogrodzkiego posadnika (namiestnika) Gostomyśla. Imię Olga otrzymała podczas ślubu, ku czci Olega.

Jeszcze inna legenda tak przedstawia pochodzenie Olgi i spotkanie z księciem Igorem. Będąc jeszcze bardzo młodą dziewczyną, Olga została żoną wielkiego księcia kijowskiego Igora. Według legendy ich pierwsze spotkanie było dość niezwykłe. Pewnego dnia młody książę, chcąc przepłynąć się przez rzekę, z brzegu wezwał do siebie mężczyznę płynącego w łodzi. Ku zaskoczeniu księcia siedziała przed nim dziewczyna o niesamowitej urodzie. Ulegając uczuciom, Igor zaczął namawiać ją do nieetycznych działań.

Tymczasem, pojawiając się jego myśli, dziewczyna przypominała księciu honor władcy, który powinien być godnym przykładem dla swoich poddanych. Zawstydzono

ny słowami młodej dziewczyny, Igor porzucił swoje zamiary. Zauważając umysł i czystość dziewczyny, rozstał się z nią, pamiętając o jej słowach i wizerunku. Kiedy nadszedł czas wyboru narzeczonej, żadna z kijowskich piękności nie przypadła mu do serca. Pamiętając o nieznanym z łodzi, Igor wysłał po nią swojego opiekuna Olega. Więc Olga została żoną Igora i rosyjską księżniczką.

Natomiast w *Latopisie Radziwiłłowskim* znajdujemy jeszcze jedno imię słowiańskie – Olena. Jak zatem miała na imię pierwsza ruska święta? Czy da się w którejś części jej biografii oddzielić mity od faktów?

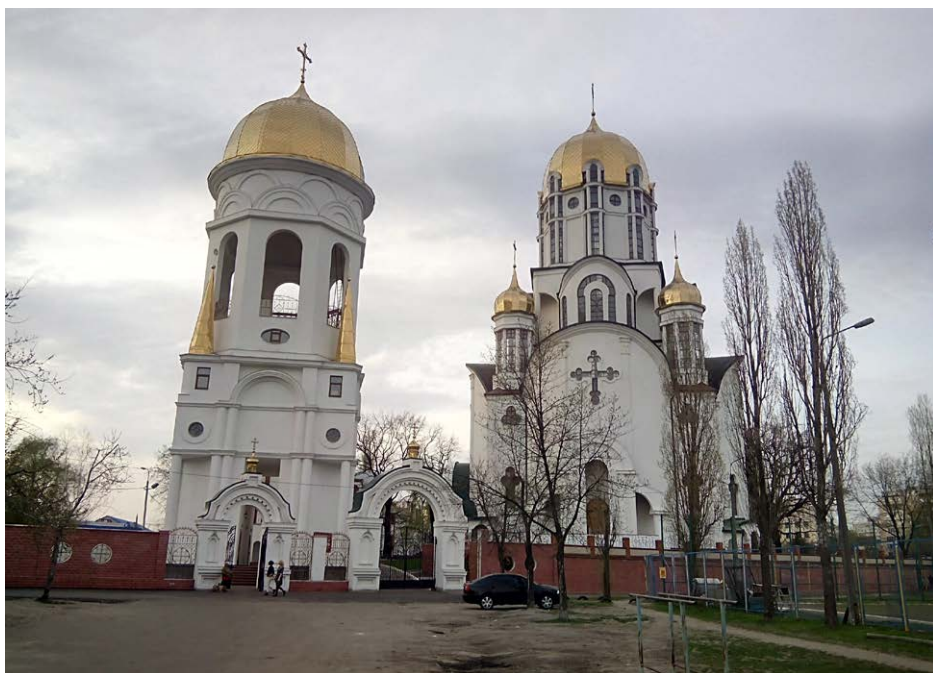
Współcześni historycy skłaniają się ku wersji, że pochodziła z Pskowa, który nie był podporządkowany Rurykowi i dla Igora ważne było umocnienie swojej pozycji na ziemiach słowiańskich. Żeniąc się ze Słowianką, książę zawarł małżeństw polityczne. Jako datę ślubu z Igorem wymienia się rok 903. Różne daty również pojawiają się odnośnie narodzin syna Światosława jako następcy. Jedne źródła podają, że nie była jedyną jego żoną. Wśród książąt słowiańskich wielożenstwo było powszechne. Wiele żon miał zarówno jej syn Światosław, jak i późniejszy chrzciciel Rusi książę Władimir „Równy Apostołom”, wnuk Olgi.

Zatem według jednych źródeł Olga nie była jedyną żoną Igora, lecz imiona pozostałych jego żon się nie zachowały. Podobno była najbardziej szanowana za rozum i walory osobiste. Natomiast A. N. Sacharow przekonuje, że była jedyną żoną Igora, który też jakoby był kryptochrześcijaninem i przestrzegał zasad chrześcijańskich. Ta wersja prawdopodobnie powstała znacznie później. Cerkiew rosyjska starała się przekonać, iż mimo że chrześcijaństwo w Rusi Kijowskiej pojawiło się znacznie później, to tendencje chrześcijańskie dojrzewały wśród panujących znacznie wcześniej; pomniejszając tym samym rolę Konstantynopola w krzewieniu nowej religii w pogańskiej Rusi.

Lew Gumilow, powołując się na kroniki przytacza jeszcze inne hipotezy, zgodnie z którymi Ruryk zmarł w 879 roku, pozostawił małoletniego syna Igora (po skandynawsku Ingwara – młodszego). Ponieważ Igor był jeszcze dzieckiem, władzę sprawował wojewoda imieniem Helgi, to znaczy Oleg (nie było to imię, lecz tytuł wodzów skandynawskich). Podczas wyprawy „od Waregów w Greki” z Nowgorodu na południe do Bizancjum w 883 zajął Psków i ożenił małoletniego Igora z pskowiejką Olgą (żeńską odmiana imienia Oleg). Prawdopodobnie zarówno Olga jak i Igor w chwili zaślubin byli dziećmi.

Wśród dat narodzin następcy najczęściej wymienia się rok 942, co byłoby mało prawdopodobne – Olga byłaby kobietą zbyt leciwą, by urodzić potomka (jeżeli miała 13 lub 15 lat w 903 r. książę Igor – 25), dokładna data jego urodzenia też nie jest znana. Karamzin uważa, że potomek Światosława urodził się nie później niż w 933 r. Wówczas Olga byłaby kobietą czterdziestoletnią. Historycy przypuszczają, że przed narodzinami Światosława na świat przyszły córki, których narodzin nie odnotowywano w kronikach. Jest też przypuszczenie, że wydano je za panujących w Europie, jako że imiona słowiańskie w europejskich domach panujących nie były rzadkością, a jedna z nich była wydana za (jeszcze wówczas króla Niemiec) Ottona I, późniejszego Imperatora Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Zmarła w młodym wieku, dlatego też do niego, jako byłego zięcia, zwróciła się Olga o przysłanie misjonarzy. Inne źródła mówią, że była to samowolna jego decyzja lub biskupa Adalberta. Wszystkie daty pochodzą z kronik sporządzonych nie tylko w różnych latach, ale i wiekach (od X po XVI). Ponadto kroniki przeplatają się z mitami, legendami tworzonymi na różny użytek.

Jest wielce prawdopodobne, że księżna Olga była nieoficjalnie ochrzczona w Kijowie, ponieważ było to miasto zarówno wie-



Sobór św. Olgi w Kijowie

loetniczne, jak i wielokonfesyjne. L. Bazyłow twierdzi, że chrzest przyjęła w Kijowie bezpośrednio przed podróżą do Konstantynopola w 955 r. i przyjęła imię Helena. Według A. N. Sacharowa księżna przybyła do Konstantynopola na początku maja ze swiątą ponad stu dostojników i liczną służbą, nie licząc marynarzy. Na audiencję czekała do 9 września na swoim statku na przystani, co poddaje w wątpliwość wielki prestiż księżnej, tak akcentowany w kronikach prawosławnych. Według innych źródeł podczas wizyty w Konstantynopolu księżnej towarzyszyło ośmiu przedstawicieli ówczesnej arystokracji, szesnaście kobiet z jej dworu, dwudziestu dwóch posłów reprezentujących różne ziemie księstwa kijowskiego i ich władcy, w tym przedstawiciel jej syna Światosława, osiemnastu służących księżnej, dwóch tłumaczy, duchowny Grigorij i czterdziestu czterech kupców.

W swoim opisie ceremoniału dworu bizantyjskiego co do tej wizyty, Konstantyn VII Porfirogeneta podaje daty dwu uctw wydanych ku czci Olgi i jej świty w Wiel-

kim Pałacu. Podkreśla ich wystawność. Wspomina okoliczność ponizającą dla Olgi – musiała wraz z innymi kobietami stać za tronem cesarza; nie musiała natomiast padać przed nim na twarz. Powitanie ograniczono do pokłonu Olgi – jest wzmianka o dwu oficjalnych audiencjach 9 września i 18 października (nie podaje roku), sam cesarz nazwał ją *archontissą* (władczynią), natomiast nie ma słowa na temat chrztu, którego miał udzielić sam patriarcha Konstantynopola Teofilakt. Skoro jakoby sam Konstantyn VII był ojcem chrzestnym i ceremonia miała się odbyć w żeńskiej części pałacu (do której wstęp mieli tylko najbliżsi krewni), jakieś bizantyjskie źródła by to odnotowały.

Według innych historyków informacja o wydarzeniu zachowała się w annałach bizantyjskich. Tym bardziej że jako córka chrzestna stawała się członkiem rodziny imperatora. Jak zatem rozumieć fakt kilkumiesięcznego oczekiwania na audiencję na statku na redzie? Również mało prawdopodobny jest opisywany w żywocie księżny



Pomnik św. Olgi w Kijowie

z XVI w. fakt oferty matrymonialnej Konstantyna. Była już leciwą kobietą, a Konstantyn był żonaty, ponadto stając się członkiem rodziny, Olga nie mogłaby zostać jego żoną. Opis tego domniemanego zdarzenia i dysput z Konstantynem na tematy religijne bardziej przypomina biblijny wątek spotkania Salomona i królowej Saby.

W hagiografii miało to szczególnie akcentować mądrość i cnotliwość księżny, jej wysoką pozycję. Mogła być atrakcyjną partią nawet dla cesarza Bizancjum.

Konstantyn nazywa ją imieniem Helga, co by sugerowało, że uważa ją za poganę. Jest co prawda wzmianka o wizycie Olgi w żeńskiej części pałacu i znajomości z rodziną cesarską. Jedni historycy, którzy obstają przy oficjalnym chrzcie Olgi w Konstantynopolu, nadmieniają, że imię Helena otrzymała ku czci małżonki Konstantyna VII Heleny Lekapene. Rosyjskie źródła prawosławne obstają, że imię Helena pochodziło od Heleny – matki Konstantyna I, która też została uznana za świętą, równą apostołom.

Przyjęcie chrztu w Konstantynopolu dla cerkwi prawosławnej miało znacznie wyższą rangę dla przyszłego chrześcijaństwa na Rusi niż chrzest udzielony przez nieznanego duchownego w Kijowie. Oldze jej prawdziwe imię przywrócono w 1547 roku podczas oficjalnej kanonizacji, gdzie już nie była uważana za lokalną ruską świętą, jak w okresie przedmongolskim. W czasach, gdy była chrzczona, imienia Olga nie było w wykazie świętych. Dlatego Olgę jako prekursorkę chrześcijaństwa na Rusi można było zrównać rangą z Heleną – matką Konstantyna I, która skłoniła syna do uznania chrześcijaństwa za religię państwową Bizancjum. Olga nie zdołała jednak skłonić swego syna do przyjęcia chrześcijaństwa.

Historycy przypuszczają, że wizyta miała charakter polityczno-handlowy i jej celem było przedłużenie wcześniej zawartych kontraktów, oraz zabiegi o większe przywileje dla kupców ruskich i swoisty pakt o pomocy militarnej. Po raz pierwszy przedstawicielka wrogiego państwa przybyła na negocjacje. Ale o ich treści też nie

ma nawet wzmianki, a główny akcent stanowi opis ceremonii. Czyżby rozmowy nie wniosły nic nowego do stosunków rusko-bizantyjskich?

W traktacie z 944 imię Olgi jest umieszczone jako trzecie (po Igorze i Światosławie, czyli mężu i następcy), czego nie było we wcześniejszym z 912 roku; co podkreśla rangę Olgi w księstwie kijowskim. Interesy Olgi reprezentował wówczas jej osobisty wysłannik. Istnieje też przypuszczenie, że Olga spodziewała się od Konstantyna VII tytułu królewskiego. Niestety, została nazwana tylko *archontissą*, co nie odpowiadało jej ambicjom. Jej wyjazd do Konstantynopola nie zacieśnił stosunków z Bizancjum. W kronice wymieniono też prezenty, którymi obdarowały się strony spotkania.

Odjeżdżając Olga nie zabrała ze sobą misjonarzy bizantyjskich. Obiecała tylko, że ten problem musi omówić z synem. Bizantyjscy misjonarze nie chrzcili Rusi za panowania jej syna. W Konstantynopolu uważano, że chrzest władcy czyni jego kraj wasalem Bizancjum.

W następnym roku pojawili się wysłannicy bizantyjscy żądający danin za nawracanie kraju. By uniknąć zależności, w 956 r. wyprawiła poselstwo do cesarza niemieckiego Ottona I. W 962 r. przybył mnich z klasztoru świętego Maksymiliana Adalbert z misjonarzami. Niestety, zbyt silny opór przeciwko chrześcijaństwu – tak ze strony syna (zdeklarowanego pogani-
na) jak i jego otoczenia – zmusił Adalberta do ucieczki w 962 r. Później tłumaczono to tym, że mądra Olga nie chciała zależności zarówno od obcego państwa, jak i od papieża; chociaż wtedy jeszcze nie nastąpił ostateczny podział chrześcijaństwa na wschodnie i zachodnie.

Pojawia się następny moment wywołujący wątpliwości. W hagiografii sporządzonej przed kanonizacją Olgi w XIV wieku mocno akcentuje się krzyż, który jakoby Olga przywiozła w darze z Konstantynopola, uczyniony z drzewa Krzyża Świętego,

przywiezionego przez Helenę (matkę Konstantyna I) z jej wyprawy do Jerozolimy, który miał być autentycznym krzyżem, na którym ukrzyżowano Chrystusa. Później wskazuje się, że podczas najazdu wojsk polsko-litewskich został on zrabowany z Kijowa i przewieziony do Lublina. Natomiast polskie dokumenty odnotowują, że od XV wieku do 1991 roku w Lublinie znajdowała się znaczna część Krzyża Świętego. Relikwia została skradziona i do dziś nie wiadomo, gdzie aktualnie się znajduje. Obecnie najsłynniejszym miejscem w Polsce związanym z Krzyżem Świętym i św. Heleną jest klasztor i kościół Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej (dawniej należącej do benedyktynów) na Łysej Górze.

Zachowały się szczegółowe opisy (aż po liczbę złotych i srebrnych monet, które otrzymali Olga i członkowie jej orszaku), a nie ma wzmianki na ten temat. Jest za to opis złotego naczynia wysadzanego drogimi kamieniami. Było ono prezentem dla Olgi. O chrzcie i krzyżu zaś, będącym najważniejszym prezentem dla przyszłej krzewicielki chrześcijaństwa – ani słowa.

Są przypuszczenia, że opis w źródłach rosyjskich wspaniałej ceremonii chrztu powstał znacznie później; prawdopodobnie wtedy, kiedy już na Rusi funkcjonowała idea „Moskwa – Trzeci Rzym”. A biografie świętych (w tym i Olgi) pisano pod kierownictwem metropolity Makarego.

Większość źródeł zgadza się, że w latach 942-956 Olga jako regentka przy małoletnim synu rządziła samodzielnie i przeprowadziła wiele reform. Wiadomo, że nie prowadziła wojen, a konflikty zewnętrzne starała się rozwiązywać na drodze dyplomatycznej. Starała się centralizować państwo i umacniać władzę książęcą.

Zachowały się bardzo drastyczne opisy z początków jej panowania. Chodzi o zemstę na Drewlanach za zamordowanie księcia Igora. Z opisów wiemy, że kiedy po raz trzeci Igor przyjechał z niewielką drużyną zbierać daninę, oburzeni Drewlanie za-



Święta Olga – ikona

mordowali okrutnie księcia i jego nieliczni orszak. Sam Igor został rozdarty między dwiema brzozami.

Zgodnie ze zwyczajem, by zapanować nad ziemiami Igora przywódca Drevlan powinien ożenić się z wdową po nim. Książę Mał wysłał do Olgi pierwsze poselstwo. Olga zażyczyła sobie, by dla dodania splendoru delegacji zostali wraz z łodzią przeniesieni na jej dwór, a tam zostali wrzuceni wraz z łodzią do wielkiego dołu i zasypani żywcem. Drugie poselstwo zostało żywcem spalone w łaźni.

W składzie tych dwu poselstw byli najwyżsi dostojnicy z otoczenia Mała. W ten sposób Olga pozbyła się jego rodowej arystokracji. Mimo że nie wróciły dwa poprzednie poselstwa, Mał zgadza się, by Olga z niewielką drużyną przybyła na teren, gdzie zginął Oleg, by urządzić tryznę według słowiańskiego zwyczaju. Był to rodzaj stypy, połączony z igrzyskami, turniejami ku czci zmarłego, obrzęd kończył się spaleniem zwłok na wielkim stosie i usypaniem kurhanu. Podczas tego obrzędu Olga i członkowie jej drużyny upijają miodem do nieprzytomności drużynę Mała i zabijają wszystkich. Prawdopodobnie zginął i Mał, ponieważ jego imienia kroniki później już nie wymieniają.

Podawana jest nawet liczba „pięć tysięcy wojów”; co jest mało prawdopodobne, jeśli pamiętamy, że przybyła z niewielką liczbą „drużynników”. Miała to być demon-

stracja siły zarówno księstwa kijowskiego, jak i odwagi Olgi, twardości jej charakteru i zdolności do dowodzenia wojskiem, a także przywiązania do tradycji plemiennych. Dawało jej to podstawę do samodzielnego sprawowania rządów w imieniu niepełnoletniego syna.

Następnie (946 r.) Olga zbiera wojsko i wyprawia się na stolicę Drevlan Iskorostień. Pierwszy bój zakończył się sukcesem, do pełnego zwycięstwa brakowało zdobycia stolicy, oblężenie miasta trwało kilka miesięcy; w obleganym grodzie brakowało żywności. Rozpoczęły się negocjacje, Olga zgodziła się wziąć od nich symboliczną daninę w postaci gołębi. Kiedy zmęczeniu oblężeniem mieszkańcy świętowali rozejm i szczodrość księżny, ptaki wypuszczone z przywiązanymi do łapek zapalonymi hubkami (według innych – pakułami). Powracające do gniazd ptaki spowodowały pożar miasta, a uciekających z pożaru wybito. Pozostałe ośrodki Drevlan zostały podporządkowane Kijowowi i obłożone daniną. Olga do Kijowa powróciła jako triumfatorka.

Z historii wiadomo, że książę Igor często uczestniczył w wyprawach wojennych. W 914 – wyprawił się przeciwko Drevlanom, w 920 – przeciwko Pieczyngom. Odbył też wiele mniej znaczących wypraw przeciwko przygranicznym plemionom. Podjął dwie wyprawy przeciwko Bizancjum. W 941 poniósł porażkę, w 944 odniósł sukces, zakończony traktatem pokojowym. W czasie wypraw władzę w jego imieniu sprawowała Olga. Zajmowała się zbieraniem daniny, sprawowała sądownictwo, administrowała księstwem. Samodzielnie rządziła w latach 945- 964, ale syn Światosław często przebywał na wyprawach wojennych. Władzę sprawowała do śmierci w 969 r. W 968 r. podczas jego nieobecności kierowała obroną Kijowa przed Pieczyngami. Ponieważ już zademonstrowała swoją pozycję, po śmierci Igora nie rozgorzała walka między krewnymi o suk-

cesję po nim; udało się też utrzymać w ryzach wcześniej podbite plemiona.

W biografii Olgi akcentuje się jej mądrość, przebiegłość, żelazną konsekwencję w egzekwowaniu decyzji, brak skłonności do wybaczenia. Tłumaczono to okolicznościami, w jakich sprawowała rządy. Granice księstwa kijowskiego nie były utrwalone ukształtowaną państwowością. Terytorium zamieszkiwały podbite plemiona, które tylko silna władza mogła utrzymać w posłuszeństwie.

Nie do końca też gwarantowali lojalność krewni zmarłego męża. Ambicje wodzów drużyn mogłyby spowodować rozpad państwa. Słaba kobieta z niepełnoletnim dzieckiem nie byłaby w stanie tego dokonać; dlatego demonstracja siły, spryt, przebiegłość, podstępność – na początku były niezbędne i w przypadku Olgi poczytano je za cnotę, a nie wadę.

Rozprawa z Drewlanami była interpretowana jako konieczność dziejowa, a nie jako krwiożerczość księżny. Zgodnie ze zwyczajem tamtych czasów na okrucieństwo należało odpowiedzieć większym okrucieństwem, by nie być posądzonym o słabość – co w przypadku władców uważano za wielką wadę. Doświadczenie wojenne przydało się, gdy w 968 pod nieobecność Światosława, jako już leciwa osoba, potrafiła obronić Kijów przed najazdem Pieczyngów.

Polityka wewnętrzna

W Księstwie Kijowskim zbiorem daniny zajmował się książę, objeżdżając z drużyną podległe ziemie. Daninę nie zawsze płacono dobrowolnie. Poza tym wysokość też zależała od woli panującego. Olga wyciągnęła wnioski z okoliczności śmierci męża – księcia Igora. Wprowadziła swoją „reformę podatkową”. Aby uniknąć niezadowolenia w przyszłości, ustaliła dokładną wysokość zbieranej daniny; najpierw dla Drewlan, później dla pozostałych terytoriów. Poborem danin od podbitych plemion

zajmowali się przedstawiciele książęcej administracji.

Przeprowadziła reformę administracyjną, ustaliła miejsca zbioru daniny, (*stanowiszcza, pogosty*) i czas zbioru (od listopada do kwietnia); później miejsca handlu, gdzie kupcy nie tylko prezentowali towary, ale także płacili cła i podatki. Cały kraj został podzielony na jednostki administracyjne *wołosti* z lokalną administracją. Później, podczas objazdu terytorium, ustalała powinności poddanych. Dwie trzecie daniny było odsyłane do Kijowa na potrzeby państwa, utrzymanie drużyny zapewniającej bezpieczeństwo karawan kupieckich udających się do Bizancjum (Kijów leżał na przecięciu dwu szlaków: „jedwabnego” i „bursztynowego”).

Ponadto były wyznaczone powinności, m.in. takie jak budowa mostów na niewielkich rzekach. Jedna trzecia daniny trafiała do skarbcza Olgi, która budowała rezydencję w Wyszgorodzie, cerkwie w Połocku i Kijowie. Za jej panowania pojawiły się muryrowane budowle. Zostały też wyznaczone książęce tereny łowieckie, miejsca gromadzenia zapasów żywności dla księżnej i jej drużyny, miejsca postojów podczas podróży po kraju.

Ponadto mamy tu pierwszą próbę uporządkowania obowiązującego prawa. Pierwszy zbiór praw regulujący niemal wszystkie sfery funkcjonowania państwa sporządził dopiero jej prawnuk Jarosław Mądry w XI wieku. Olga była prekursorką.

Cerkiew akcentuje jej działalność dobroczynną, budowę pierwszych cerkwi: świętej Zofii w Kijowie w 952 r. (zburzona przez Światosława w 971 r.), oraz w Pskowie. W jednym z żywotów jest wzmianka o cerkwi w Połocku, niewielkich kaplicach i cerkiewkach w różnych miejscach. One – jako budowle drewniane – się nie zachowały.

Po powrocie z Konstantynopola księżna próbuje naśladować zwyczaje tamtejszego dworu/ Buduje rezydencje w Kijowie, Nowgorodzie, Pskowie, Wyszgorodzie. Urzą-

dza rezydencje z przepychem, dba o bogate stroje dworu i służby, wprowadza zwyczaj obdarowywania przybywających gości, zapewnia oprawę muzyczną na ucztach, zamawia u kupców wiele towarów na potrzeby dworu. Dbą o rozwój nie tylko Kijowa, ale i innych znaczących miast, wchodzących w skład księstwa. Niewątpliwie dzięki niej umocniła się państwowość Rusi Kijowskiej, rozwijały się kontakty handlowe i kulturalne z innymi krajami.

Polityka zagraniczna Olgi

Po pogromie Drewlan Olga unikała wojen. Wszelkie sprawy zarówno z sąsiednimi księstwami jak i dalszymi sąsiadami starała się załatwiać na drodze dyplomatycznej. Utrzymywała kontakty z państwami europejskimi, starając się uchronić państwo od zależności zarówno od Bizancjum jak i od Niemiec – mimo że nastąpiła oficjalna wymiana poselstw. Jako jeden ze sposobów umocnienia prestiżu upatrywała we wprowadzeniu chrześcijaństwa.

Oficjalnie Ruś została ochrzczona w 988 roku przez wnuka księżny Władimira i misjonarzy bizantyjskich. Był to zabieg zarówno propagandowy (podkreślający pewną kontynuację), jak i też zapewne miał złamać opory pogan, wśród których była jeszcze żywa pamięć o księżnej i jej bizantyjskim chrzcie. Zachowała się wzmianka, jakoby Olga zachęcała syna Światosława (zagorzałego poganina) do przyjęcia chrztu, odpowiedział jej, że nie chce być pośmiewiskiem swojej družyny.

Księżna Olga w ostatnich latach życia w tajemnicy utrzymywała przy sobie duchownego, żeby nie wywoływać zamieszek antychrześcijańskich. Zmarła w 11 czerwca 969 roku. Dumna władczyni przejawiając po raz ostatni siłę woli i konsekwencję, zabroniła urządzania tryzny po swoim pogrzebie. Życzyła sobie pogrzebu w obrządku chrześcijańskim. Według kronikarzy była opłakiwana nie tylko przez najbliższych, ale i cały lud księstwa kijowskiego.

Podobno została pochowana w sarkofagu w zbudowanej przez siebie (jeszcze drewnianej) cerkwi świętej Zofii – Mądrości Bożej. W 1007 r. jej szczątki zostały przeniesione do cerkwi murowanej, zbudowanej przez wnuka. Badania archeologiczne w Kijowie nie potwierdzają miejsca złożenia szczątków, choć liczne opisy cudów istnieją. Nie jest też znana data uznania jej za lokalną świętą. W XIII w. w tzw. okresie „przedmongolskim”, za drugą kanonizację uważa się rok 1547, kiedy jej żywot jako świętej został umieszczony w księdze żywotów i księdze heraldycznej Rusi Kijowskiej i Moskiewskiej (*Stiepiennaja kniga*).

Jej wnuk Władimir również został kanonizowany jako „Równy Apostołom” – (tytuł nadawany przez cerkiew za szerzenie chrześcijaństwa). Był to akt religijno-polityczny. Władimir za żonę otrzymał Annę, siostrę Bazylego II (Bułgarobójcy) i Konstantyna VIII – cesarzy bizantyjskich. Pokrewieństwo z rodziną bizantyjską podnosiło prestiż książąt ruskich. Cesarz w zamian zapewnił im pomoc zbrojną w liczbie sześciu tysięcy wojowników.

W przyszłości fakt ten wzmacniał ideę „Moskwy – Trzeciego Rzymu”.

Olga była pierwszą kobietą, która została władczynią jednego z największych ówczesnych państw – Rusi Kijowskiej. Zemsta tej kobiety na wrogach państwa była straszna, a rządy surowe. Władczyni była postrzegana niejednoznacznie. Jedni uważali ją za mądrą, inni za kogoś okrutnego i przebiegłego, a cerkiew i wierni za prawdziwą świętą. Księżna Olga przeszła do historii jako twórczyni kultury państwowej Rusi Kijowskiej, jako pierwsza panująca, która została ochrzczona i jako pierwsza rosyjska święta.

W tradycji zachodniej św. Helena jest patronką m.in. Frankfurtu nad Menem i Bazylei oraz diecezji w: Trewirze, Ascoli Piceno, Bambergu, Pesaro; a także farbiarzy, wytwórców igieł i gwoździ. W tradycji wschodniej jest wstawienniczką przed Bo-

giem o dobre zasiewy i obfite plony (szczególnie przy uprawie lnu).

W Rosji św. Olga (do 1547 r. Helena) jest patronką wdów i nowo nawróconych.

Podczas panowania ostatniego cara z dynastii Romanowów został ustanowiony Krzyż świętej Olgi 11 lipca 1915 roku dekretem cara Mikołaja II, celem uczczenia 300-lecia panowania dynastii Romanowów. Zgodnie z wolą monarchy przyznawany miał być „w uznaniu zasług kobiet na różnych polach publicznej i państwowej służby bliźniemu”.

Projekt odznaczenia wykonał zasłużony artysta generał-major M. S. Putjatin.

Nagrodę przyznano w 1916 roku pierwszy i ostatni raz. Krzyż św. Olgi II klasy otrzymała Wiera Panajewa, która podczas działań wojennych I wojny światowej straciła trzech synów-oficerów, nagrodzonych Orderem św. Jerzego IV klasy.

Krzyż został zniesiony wraz z innymi imperialnymi odznaczeniami po rewolucji październikowej w grudniu 1917. Pomnik świętej Olgi zachował się w Kijowie.

Obecnie krzyż ten istnieje na liście dwunastu odznaczeń nadawanych przez pretendentkę do rosyjskiego tronu księżnę Marię Władimirowną Romanową jako order wygaszony, ale nie należy do grona ośmiu orderów domowych rosyjskiej dynastii Romanowów.

Poprzednik obecnego orderu kościelnego istniał już w Imperium Rosyjskim pod postacią Honorowej Odznaki stworzonego w roku 1914 „Stowarzyszenia św. Olgi”. Miała ona dwa stopnie i nadawana była wyłącznie kobietom za „zasługi w dziedzinach życia państwowego i społecznego oraz czyny miłosierdzia”. Stowarzyszeniu patronowała najstarsza córka cara Mikołaja II, wielka księżna Olga (obecnie: święta Olga Nikołajewna). Odznakę przyznano tylko dwóm osobom.

Obecny order został ustanowiony 27 grudnia 1988 roku przez Święty Synod Cerkwi Prawosławnej ówczesnego ZSRR.

Posiada trzy klasy, które nadawane są wyłącznie kobietom. Odznaką orderu I klasy jest biały krzyż grecki z szafirowymi kulkami na końcach ramion, ze złotymi promieniami i szafirowym wieńcem między ramionami krzyża. W medalionie środkowym znajduje się malowana kolorowa podobizna św. Olgi, otoczona błękitnym pierścieniem z napisem „СВ. РАВНОАПОСТ. БЕЛ. КН. ОЛЬГА”. Nad krzyżem góruje korona patriarchalna. Na krzyżach II i III klasy portret św. Olgi nie jest kolorowy, krzyż III klasy jest nieemaliowany. Order noszony jest na agrafie na piersi, bez wstążeczki.



Order
św. Równej Apostołów
Wielkiej Księżnej Olgi

Po tej samej św. Oldze otrzymał nazwę grecki Order Świętych Olgi i Zofii. Order Księżnej Olgi (ukr. Орден княгині Ольги, Orden kniahyni Olhy) – order kobiecy, ukraińskie odznaczenie państwowe ustanowione w 1997.

Order Świętej Równej Apostołów Wielkiej Księżnej Olgi. Order III klasy. □

Bibliografia

1. L.Gumilow, „Od Rusi do Rosji”, przekład E. Rojewska-Olejarczuk, PIW, Warszawa 2004.
2. L. Bazyłow, „Historia Rosji”, PWN, Warszawa 1983.
3. N. V. Riasanovsky, N. D. Steinberg, „Historia Rosji”, przekład A. Bernaczyk, T Teszber, Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009.
4. История России с древнейших времен до начала XXI века. Под редакцией А. Н. Сахарова, Институт Российской Истории РАН, Москва АСТ «Астрель». Транзит книга 2006;

JAK DOBRZE JEST WIOSNĄ PODUMAĆ NAD PROSNĄ...

... lub snuć myśli w kółko nad inną rzeczulką nad jakąkolwiek rzeczulką...

Tak właśnie brzmi jeden z fragmentów kultowej piosenki kabaretu Starszych Panów. Skąd taki początek mojego tekstu?

Stąd, że zrzędzeniem losu trafiłem do Kalisza. Miasto piękne, nieco tajemnicze. Kto był, ten wie. Kto nie był, musi mi uwierzyć na słowo.

Krążąc po kaliskim starym mieście poczyniłem wiele obserwacji. Chcąc nieco odetchnąć i uporządkować wrażenia przysiadłem w cieniu parkowych drzew okalających meandrującą Prosnę.

Ogólnie rzecz biorąc moje refleksje nie były zbyt odkrywcze. Średniej wielkości miasto, niegdyś wojewódzkie, szczycące się (także niegdyś) świetną fabryką fortepianów, dobrą szkołą muzyczną i innymi instytucjami ważnymi ze względów strategicznych. A jeżeli dodać do tego fakt, że Kalisz jest jednym z najstarszych miast w Polsce – mamy przykład historycznego dostojenstwa próbującego wpisać się w warunki nowoczesności.

Obserwowałem z mojej ławki toczące się kaliskie życie. To, co było od razu zauważalne, można streścić w słowie: nieśpieszność. Drepczący nieśpiesznie starsi ludzie to obrazek wspólny dla całej kuli ziemskiej. Bo po co i dokąd się śpieszyć? Przeznaczenie przecież i tak się o nich upomni. Młodzi ludzie idący do pracy, robiący zakupy, wracający ze szkoły też nie wykazywali objawów wielkomiejskiego pośpiechu. Bo po co i dokąd się śpieszyć? Przecież i tak zrobić trzeba to, co konieczne, od czego nie można uciec, a wymigać się nie wypada. Znowu ta moc przeznaczenia. Proсна też płynęła bez pośpiechu. Kaczki (śliznie upierzone) też bez pośpiechu taplały się w parkowych wodach.

Czy zatem trafiłem w miejsce bezruchu i „osmętnicy”? Nie. Tak mi się wydaje, że



Na sądowym murze

tutaj po prostu żyje się wolniej, można powiedzieć: dokładniej.

Zmiany nazw ulic podyktowane względami historyczno-politycznymi już dawno przestały być czymś, co dziwi. Po prostu: tak się stało. Bohaterowie byli, są, przeminą. To też jest przeznaczenie. Znacznie bardziej zajmuje zacnych mieszkańców rewitalizacja rynku. Jedni mówią, że to przesadna „betonoza”. Innym to nie przeszkadza. Przecież z betonem czy żwirowanym rynkiem Kalisz nie zniknie. Pozostanie dalej piękny i nieco tajemniczy. A że na rynku pojawiła się nagle palma, żywa a nie plastikowa? Jedni akceptują, inni niekoniecznie. Z palmą czy bez palmy? Czy to ważne? Miasto widziało już wiele rzeczy.

Myślę, że taka postawa społeczna: nie bierna i bezrozumna, lecz balansująca na granicy konsensusu i bezsensu – to w sumie bardzo rozsądny wybór. Zmiany przecież to niekoniecznie samo zło, a konserwyzm nie zawsze stanowi wartość niepodważalną.

Jest jednak coś, co powoduje moją nie-
zbyt wesołą refleksję. Otóż, gdy byłem w tym zacnym grodzie kilka lat temu, pokazano mi ciekawe miejsce. Rzecz dotyczy (choć coraz mniej) upamiętniania wydarzeń historycznych, wydawałoby się, dosyć ważnych.

Przy Alei Wolności (*nomen omen*) mieści się budynek sądu. Bardzo dostojna i ład-

na budowla. Widać autorytet i powagę. Tak ma być. Trochę komiczny jest fakt, że postać Marszałka Piłsudskiego na pomniku stoi odwrócona tyłem do gmachu sprawiedliwości. Myślę jednak, że to też mieszkańcom niezbyt przeszkadza. Niech sobie Marszałek stoi, jak mu wygodnie.

Ale nie to jest przedmiotem mych rozważań. Ważniejsze bowiem jest to, co można wyczytać na murze sądowego pałacu. Tuż nad poziomem chodnika, aż po dolną linię okien parteru (pas wysokości ok. 1,5 m, długości ok. 15 m) widnieje napis:

PRZYWRÓCIĆ GODNOŚĆ PRAWU

Żądanie prorocze, a więc po zwycięstwie prawdziwej demokracji napis ów osłonięto przezroczystą taflą tak, aby przypadkiem nie uległ dewastacji czy działaniu pogody. W tę szybę wmontowano tabliczki z informacjami, czego ten napis dotyczy, kiedy powstał. Słowem: Kalisz zyskał nowe miejsce turystyczno-edukacyjne.

Dzisiaj, po latach, przyjrzałem się znowu opisanemu powyżej obiektowi. I co? Smutno. Dlaczego? Ano dlatego, że napis wyblakł. Dlatego też, że szyba go osłaniająca jest paskudnie upaprana gołębiami odchodami. Starymi i całkiem świeżymi. Chod-



Pomnik Marszałka przed sądem

nik też nie jest czysty. Ludzie omijają to miejsce i jakby odwracali wzrok.

Jakże to żaloszny paradoks: wzniosły i słuszny apel na sądowym gmachu unurzany w ptasich kupach, pogrążający się w ludzkiej obojętności. A szefostwo sądu? Czy to tak trudno wysłać pracownika ze ścierką i kubłem wody? A może ten napis przypomina prawniczej elicie o czymś, o czym elita owa nie umie lub wręcz nie chce pamiętać? Kolejny raz ideał sięgnął bruku. Gołębie mu w tym pomogły. Ludzie nie przeszkadzali.

Marchoń

TCHÓRZE CZY IDIOCI?

Zrobiło się tragicznie, bezsilnie, nie do wytrzymania. Chodzi o reakcję mojej wnuczki i jej koleżanek na kolejną śmierć ciężarnej kobiety. Wydawało się, że po pszczyńskiej tragedii nic podobnego zdarzyć się nie może. A jednak.

Wczoraj moja wnuczka i jej cztery koleżanki zjawiły się w naszym domu. Pretekstem była konieczność „douczenia się” czegoś tam z któregoś z przedmiotów. Ja – emerytowana nauczycielka – przyjąłam to tłumaczenie z pobłażliwym przymrużeniem oka. Wnusi! Przecież wiem, że oceny są dawno wystawione. O co więc chodzi?

Dziewczyny zrobiły sobie herbatę, zagarnęły na wyłączność paterę z ciasteczkami. Rozsiadły się w pokoju wnuczki na podłodze. Rozmowa była ożywiona, czasem nawet głośna. Nie podsłuchiwałam, ale nie sposób było nie słyszeć.

Babciu! – rozległo się wołanie z pokoju.

Weszłam i zapytałam, o co chodzi. I tu nagle ruszyła lawina pytań. Pytań jak na nastolatki nie tyle tragicznych, co rozpaczliwych. Ogólnie chodziło o aborcję, traktowanie kobiet przez lekarzy, unikających podejmowania trudnych decyzji. Tak jakby nie istniała przysięga Hipokratesa, jak-

by nie obowiązywała etyka zawodu, jakby nie liczyła się wiedza, wieloletnie trudne studia. Wszystkie te wartości zostały urzędowo, politycznie zastąpione tzw. klauzulą sumienia. Dziewczyny dopytywały, co to jest i jak to działa.

Przyznam się, że trochę zgłupiałam. Dla mnie, osoby starej daty (tak przynajmniej uważam) jedynym imperatywem działania medyka jest niesienie pomocy. Za wszelką cenę. Zwłaszcza gdy chodzi o ciężarną, często cierpiącą i przerażoną kobietę. Nic z tego, jak się okazuje. Nic z tego, bo ważniejsze jest religianckie zaćmienie umysłu. Nieważna jest wiedza medyczna, doświadczenie poparte doktoratem. Ważne są pomysły pani Kai Godek i jej zwolenników. Ważne jest, co rzekną purpuraci i cała hierarchia kościelna.

A lekarze? Oni dawno przestali się liczyć. Co najwyżej zalecą konającej kobie-

cie leżenie z nogami uniesionymi do góry; a nuż wody płodowe wrócą? Przecież to koszmar dla normalnej młodej dziewczyny, mającej w przyszłości zostać matką. Dziewczyny wyraziły (po części brutalnie) pogląd, dający się streścić słowami: Rodzić? Wszędzie, tylko nie w Polsce.

Jeśli kiedykolwiek któraś z moich wnuczek miała rację i do tego mówiła rozsądnie, zawsze się cieszyłam. Tym razem ogarnął mnie smutek. Rezygnacja też. Nawet nie próbowałam podejmować polemiki, bo co miałam powiedzieć? Że paskudna, cwaniacko uprawiana ideologia wzięta górę nad rozumem? Że wśród lekarzy nie brak ludzi z amputowanym kręgosłupem moralnym?

Kiedys żył rudy, genialny kompozytor. Nazywał się Antonio Vivaldi. Był księdzem. W swoich pamiętnikach zapisał prozocze słowa: „Strach jest motorem wszelkich działań”.

Babcia

Julian Tuwim

MIESZKAŃCY

Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach
Strasznie mieszkają straszni mieszczanie.
Pleśnią i kopciem pełnie po ścianach
Zgroza zimowa, ciemne konanie.

Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.
Trochę pochodzą, trochę posiedzą,
I wszystko widmo. I wszystko fantom.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie,
Krawacik musną, klapy obciagną
I godnym krokiem z mieszkań - na ziemię,
Taką wiadomą, taką okrągłą.

I oto idą, zapięci szczerlnie,
Patrzają na prawo, patrzą na lewo.
A patrząc - widzą wszystko oddzielnie
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

Jak ciasto biorą gazety w palce
I żują, żują na papkę pulchną,
Aż papierowym wzdęte zakalcem,
Wypchane głowy grubo im puchną.

I znowu mówią, że Ford... że kino...
Że Bóg... że Rosja... radio, sport, wojna...
Warstwami rośnie brednia potworna,
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.

Głowę rozdętą i coraz cięższą
Ku wieczorowi ślepo zwieszają.
Pod łóżka włożą, złodzieja węszą,
Łbem o nocniki chłodne trącając.

I znowu sprawdzą kieszonki, kwitki,
Spodnie na tyłkach zacerowane,
Własność wielebną, święte nabytki,
Swoje, wyłączne, zapracowane.

Potem się modlą: „od nagłej śmierci...
...od wojny... głodu... odpoczywanie”
I zasypiają z mordą na piersi
W strasznych mieszkaniach straszni mieszczanie.

Z rozmowy Agaty Porażki z Tomaszem Gajderowiczem (z Katedry Edukacji i Pracy Wydziału Nauk Ekonomicznych UW, zamieszczonej na Gazeta.pl 6.06.2023:

– Pytanie, czy AI używać w szkole, nie ma sensu; to tak, jakbyśmy 20 lat temu zastanawiali się, czy „ten internet” włączać do edukacji. I wyobraża sobie pani, co by było, gdybyśmy tego nie zrobili? A sztuczna inteligencja wbrew pozorom nie tylko ułatwia naukę, ale też często rodzi więcej pytań niż odpowiedzi. Informacja dostarczana przez wszystkie narzędzia AI jest na tyle dobra jak zasoby internetu. A jak wiemy, w internecie są rzeczy bardzo różnej jakości. Zatem ocena jakości informacji, umiejętność weryfikacji, identyfikacja fake newsów, dochodzenie do źródeł – to jest przyszłość, jeżeli chodzi o to, co chcielibyśmy, żeby młodzi ludzie potrafili na rynku pracy. I to jest to, czego powinniśmy uczyć.

(...) Badania pokazują, że dzieci w wieku 10 lat w Singapurze czy Hongkongu po prostu potrafią znacznie więcej w zakresie zarówno czytania ze zrozumieniem, matematyki i wiedzy o świecie. U nas też jest to możliwe! Niestety, nauczyciele i rodzice w Polsce są często pod wpływem mylnych intuicji czy dobrze brzmiących trendów bez poparcia w badaniach.

(...) Polska jest na szarym końcu, jeśli chodzi o poczucie przynależności do szkoły. Nasze dzieci czują się relatywnie najmniej związane ze szkołą w porównaniu z innymi krajami.

(...) Gdy spojrzymy na to, jak nauczyciele odpowiedzieli na pytanie, czy pana/pani praca ma sens i cel, to 43 proc. osób wskazało „bardzo często” w 2016 roku, a w 2021 – już tylko 28 proc. Mniej niż co trzeci nauczyciel uważa, że jego praca ma sens. To jest kryzys.

(...) Istnieje jednak niebezpieczeństwo prowadzenia edukacji domowej w sposób, który przyniesie więcej szkody niż pożytku. Są grupy edukatorów, które w najlep-

szej wierze, żyją głębokim przekonaniem o tym, że nauczanie podstaw nie ma sensu, a dzieci powinny tylko się bawić i uczyć się tego, czego akurat chcą, bo wtedy będą szczęśliwsze. Badania raczej tego nie potwierdzają. Sam zabawa tutaj nie wystarczy. Nie wpadajmy z jednej skrajności w drugą. Jestem całym sercem za eliminacją opresyjnych i stresujących metod nauczania, ale należy je zastąpić przyjazną i skuteczną edukacją, a nie zaoarać szkolnictwo. Przykładowo badania nad motywacją pokazują, wbrew intuicji, że motywacja do nauki nie powoduje lepszych wyników. Jest jednak odwrotna zależność. Gdy widzimy swój sukces, widzimy, że potrafimy, że jesteśmy sprawczy, pojawia się motywacja. Jak zatem mieć szczęśliwych uczniów? Uczmy ich nieopresyjnie oraz skutecznie. Dzieci muszą dostać podstawy czytania ze zrozumieniem, rozumowania matematycznego i wiedzy o świecie, a potem niech wybierają swoją drogę. Nie pozwólmy jednak, aby mylne przekonania edukatorów zamknęły im część z dróg rozwoju.

(...) – Co musimy zmienić w szkołach podstawowych i liceach, żeby poprawić poziom nauczania? Czy wiemy, jak je zmienić?

Doskonale wiemy, co trzeba zmienić! To nie jest kwestia czyjeś widzimisię, czyjejś opinii, jak powinno być. Z edukacją jest jak z medycyną, jak z leczeniem choroby. Przykładowo: mam ostrą anginę bakteryjną i lekarz wie, że najefektywniejszą metodą leczenia jest podanie antybiotyku. Dokładnie wiemy, w jakim dawkowaniu, przez ile czasu należy brać lek – zostało to wielokrotnie udowodnione w badaniach, potwierdzają to specjaliści. I w edukacji jest tak samo.

Wiemy, jak mózg pozyskuje informacje, jak się uczy, jak działa pamięć robocza. Tylko zamiast wykorzystywać tę wiedzę na każdym etapie edukacji, albo licytujemy się na opinie, albo na jednostkowe przykłady.



Powtórzę jeszcze raz: świetnie wiemy, jak zmienić system. Niestety, zamiast tego obserwujemy nauczycieli, którzy ogromnym wysiłkiem realizują swoją misję, mimo sporego chaosu informacyjnego i wszystkich trudności, które spotkały edukację w ostatnich latach: reforma w 2017 roku, spadek realnych wynagrodzeń, strajk i pandemia. Ciągłe zdarza się, że nauczyciele mają szkolenia z metod, o których od 30 lat wiadomo, że są bzdurą. Na przykład wspomniane style nauczania. Zaczniemy myśleć o edukacji jak o medycynie. I o tym, co się w niej dzieje, jak o stanie pacjenta ze wszystkimi jego fizycznymi i psychicznymi dolegliwościami.

(...) – Skoro tyle wiemy, to czemu nie leczymy?

Jest to bardzo dobre pytanie. W Polsce brakuje przekonania o tym, że aby coś powiedzieć na temat edukacji, trzeba mieć na to dowody. Myślę, że to jest największa zmiana mentalna, która nas czeka. Wiele reform jest przygotowywanych na zasadzie przekonań czy potrzeby politycznej, podczas kiedy dowody na to, co działa, a co nie, są ignorowane. Spójrzmy na reformę edukacji z 2017 roku, która wyrzuciła cały system. Co by o niej nie mówić, odkładając na bok kwestię tego, czy była dobra, czy zła, na pewno nie była oparta na wynikach badań naukowych. Wielki postęp w polskiej edukacji, jaki wykonaliśmy przez ostatnie 20 lat, a którym zachwycają się zarówno niemiecki dziennik „WELT”, jak i edukatorzy na całym świecie, to efekt założeń reformy z 1999 roku. Niestety, wiele z tych trendów w ostatnich latach odwracamy.

Mam wrażenie, że jesteśmy jak człowiek starszej daty, który bardzo cierpi z powodu anginy, ale uparcie płucze gardło wodą utlenioną, zamiast pójść do lekarza po skuteczne leki. I będzie cierpieł dalej, bo wydaje mu się, że sam wie lepiej. Bo swoje już przeżył i doświadczył.

No i najlepsze jest to, że ten człowiek robi to w dobrej wierze. Może nawet czuć się ekspertem w tej kwestii. W Polsce każdy jest specjalistą od edukacji, bo albo przez nią przeszedł, albo ma dzieci w tym wieku, albo coś słyszał, albo coś wygooglował.

– I ostatnie pytanie na dzisiaj, bardzo często powtarzane – o zawody przyszłości.

– Oho, to jest trudne pytanie. Nie powiem pani dzisiaj, jak się będą dokładnie nazywały. Ale jestem przekonany, że ważna będzie w nich umiejętność współpracy z nowoczesnymi narzędziami, sztuczną inteligencją, sceptycyzm, weryfikacja informacji i jej ocena.

Czyli zamiast skupiać się na zawodach przyszłości, szukamy kompetencji przyszłości.

Tak. Dzisiaj najważniejsze jest wyrabianie bazy do umiejętności uczenia się nowych rzeczy w sposób efektywny.

Komentarze internautów.

ciastkozaur: Mam nadzieję, że wszystkie prywatne wyższe szkoły gotowania na gazie zdechną jak najszybciej. Nie uczą niczego, dewaluują tytuły.

paseo – @ciastkozaur: A teraz sprecyzuj, o co ci chodziło...

antychreza – @paseo: – O widzisz, a ja bez problemu zrozumiałam. Może musisz wrócić do szkoły albo, co bardziej prawdopodobne, poprosić mamę, żeby kupiła ci na dzień dziecka słownik wyrazów obcych? Może zapomniała o tegorocznym prezencie i nie będziesz musiał czekać aż rok, zanim będziesz mógł zrozumieć te 2 krótkie zdania?

najgorszy.sort.polakow – @paseo:

Twój komentarz dowodzi, że ukończyłeś (-aś) jedną z takich zbędnych uczelni.

prezes-ramzes - @ciastkozaur:

No i te (kupione) polskie „zagraniczne” MBAje...

jajakoja – @ciastkozaur: Te szkoły kształcą wyborców PO.

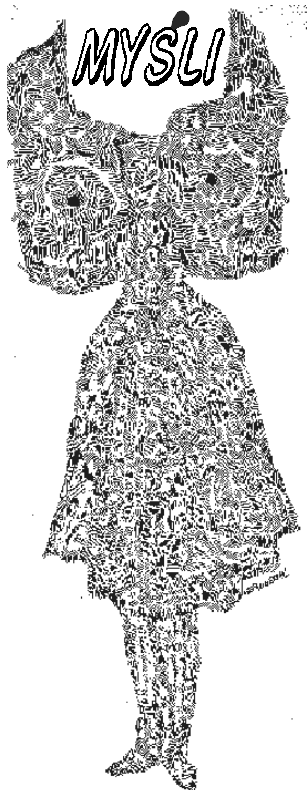
WraneK – @jajakoja:

Tak ci wbijali w pustą, pisią pałę, w Toruniu? Czy w Lublinie?

Niechceplacicznasekte – @jajakoja:

A żebyś tak xuju, na lekarza po KUL-u trafił i żeby cię leczył lewatywą na raka.

kamyk39: 10% geniuszu i 90% ciężkiej pracy. Nic tego nie zmieni. Chyba że silikon w piersi.



Hojność polega nie na tym, by dawać dużo, ale na tym, by dawać w odpowiedniej chwili.

Jean de La Bruyère

Świat jest zły i jeszcze mu się to ułatwia.

Franz Kafka

Jedna czarna owca podkreśla biel wszystkich pozostałych.

Stefan Kisielewski

Wszystko zło rodzi się ze słabości ludzkiej.

Friedrich Nietzsche

Bądź takim, abyś nie musiał się czerwienić przed samym sobą.

Wiktor Hugo

Pamiętaj tylko to co dobre; to, co złe, nigdy o tobie nie zapomni.

Doug Horton

Uczciwość polega nie na wierze, lecz na wątpliwościach.

Jalu Kurek

Na stu ludzi umiających czytać, jeden zaledwie umie myśleć.

John Ruskin

Człowiek jest tylko trzcina, najwęższą w przyrodzie, ale trzcina myślącą.

Blaise Pascal

Kiedy bogowie chcą nas ukarać, spełniają nasze prośby.

Oskar Wilde

Są ludzie wstrętni mimo zalet, a inni mili z wadami.

Francois de La Rochefoucauld

Człowiek pozbawiony złych nawyków może mieć gorsze.

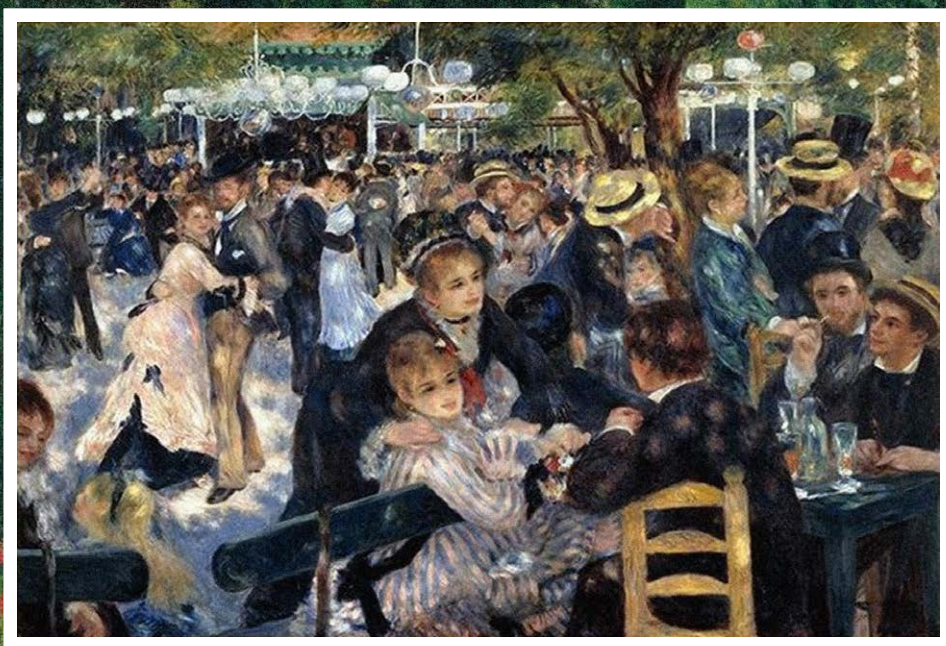
Mark Twain



Projekt okładki: Piotr Augustynek

Kompozycja stron: Artur Koziół

Grafiki: Piotr Augustynek. Zdjęcia: Antoni Pietryka, zasoby internetu



Pierre August Renoir
Bal w Moulin de la Galette, 1876